

10071

Powściągliwość i Praca

MIESIĘCZNIK

Organ Towarzystwa świętego Michała Archaniola

poświęcony

sprawom wychowawczo-religijnym,
kulturalno-społecznym i narodowym



MIEJSCE PIASTOWE

Wydawnictwo Towarzystwa Świętego Michała Archaniola

Treść zeszytu:

Ku czci Krzyża. — Nasze życzenia świąteczne. — Papież Pius XI. — Blaski i wonie świętości. — Wiatr gasi lojówkę a rozplomienia pochodnię. — Na Wielkanoc. — Kapłan i Ofiara. — Dokąd dążymy. — Sp. S. Anna Kaworek. — Z kroniki domowej. — Z karty pośmiertnej. — Przegląd wydawnictw. — Od Redakcji.

Czterdzieści lat temu.

Do Przyjaciół maluczkich, ubogich i opuszczonych*).

Kraj wydaje miliony na wykształcenie i wychowanie ubogiej młodzieży, lecz mamy jeszcze krocie analfabetów, a tysiące dzieci pobierających w szkołach nauk nie odbiera jednak dostatecznego wychowania. Bo cóż znaczy siedzieć w szkole choćby 5 godzin dziennie i to pod najlepiej wychowanym i wykształconym nauczycielem, jeśli potem resztę dnia dziecko musi spędzać w otoczeniu nieokrzesanym i zepsutym. Szkoła może wystarczyć dzieciom rodziców i opiekunów zamożniejszych i cnotliwych, ale mało pomoże dzieciom opuszczonym moralnie i materialnie. Stąd widzimy więzienia przepelnione, i to w znacznej części ludźmi, którzy chodzili do szkoły, a całe społeczeństwo zartwożone pyta, „co to dalej będzie?”

Potrzeba tedy w kraju naszym zakładów dla wychowania ubogiej i opuszczonej młodzieży, której mamy tysiące, a jeśli nie odbiorą odpowiedniego wychowania, zapelnia kiedys więzienia i będą zakała społeczeństwa. Potrzebne więc jest pismo tej gałęzi wychowania poświęcone, a właśnie takim pismem będzie nasz miesięcznik pt. „Powściągliwość i Praca”.

Obrazek z Miejsca Piastowego**).

Czy już po kolacji? Cicho! — szepnął Franuś, kładąc palec na ustach — pacierz po niej teraz mówią. No, trzeba się pogodzić z losem; nie zobaczę ich już razem w rektorzu, powetuję sobie przynajmniej podczas rekreacji. Wychodzę na dziedziniec i czekam przy węgle domu. Naraz wstrząsnął mną jakiś huk; to po schodach pędzą chłopcy na rekreację. Sto głów wysypało się na podwórze; każdy śmieje się, wysuwa się główka jasnowłosa maleńkiego chłopczyka, za nią druga, trzecia itd., wreszcie ukazali się wszyscy. Księżyc świeci ślicznie — tak wszyscy wyglądają w jego świetle, jak jakie duchy; jeden przechadza się poważnie i z wielkim zapalem rozprawia chłopcom gromadnie go otaczającym o projektach dalszej budowy. Inny znowu zachęca do wyścigów; nie potrzebuje dwa razy powtarzać, bo cała gromada chłopców z hałasem pędzi co sił starczy; muszę się usunąć, bo by mnie zagarnęli w swym zapale. Oglądam się gdzieby się schronić, gdy wtem zimny dreszcz przeszedł po mnie; jakieś stworzenie z drugiego świata zbliża się — cień jego pada o kilkadziesiąt kroków, akurat na mnie i jakżeż nie przestraszyć się go. Lecz nabieram odwagi i podchodzę do niego — to figlarz jakiś spaceruje sobie poważnie na szrudlach. Dopiero teraz spostrzegli mnie chłopcy, a gdy się dowiedzieli o powodzie mego przestachu, wybuchnęli głośnym śmiechem. Prowadzą mnie z głośnymi okrzykami w procesji do nowej budowy. Oto stoimy pod nią — wygląda tajemniczo, jak gdyby jakie ruiny starego zamczyska. Dreszcz mimowoli cię przejmuję, gdy spojrzysz na mury, rozrzucające daleko cienie. Wchodzę na nie — ach! co za cudny roztacza się widok; przy świetle księżycza wszystko wygląda jak zaczarowane; mogę wzrokiem dosięgnąć daleko na Karpaty, na Cergowę wylaniającą się spośród nich; spoglądam na górę królewską i zamek odrzykoński, o którym tyle baśni słyszałem, na Iwoniec, Rymanów, Krosno, z którego dolatują czasem dźwięki sławnych dzwonów krośnieńskich.

*) „Powściągliwość i Praca” — Rok I, Nr 1 z lipca 1898.

**) „Powściągliwość i Praca” — Rok I, Nr 4 z października 1898.

ADAM A. S. VICTORE (1130—1180).

KU CZCI KRZYŻA.

Na cześć krzyża niechaj pienia
głoszą, których znak zbawienia
opromienił sławą.

Przez ten krzyż nam triumf dany,
krzyżem szatan pokonany
za Jezusa sprawą.

Pleśń ku niebu niechaj wzlata,
wielbiąc znak zbawienia świata
przezczystymi głosy.

Życie śpiewów nie zabrania,
gdy pieśń życia nie przystania,
lecz wznosi w niebiosy.

Studzy krzyża — krzyż wynoszą
i o łaski Boga proszą
przez pobożne pienia.

Każdy z nas i wszyscy społem
przed tym krzyżem bijmy czołem,
wielbiąc znak zbawienia.

Krzyż cudowną jest drabiną,
którą Chrystus ziemi synom
daje wejść do nieba.

Patrz: swoimi krzyż ramiony
wybiegł w cztery świata strony,
bo wszystkim go trzeba.

Szczęście tam się nie przybliża,
gdzie nie znajdziesz znaku krzyża
na domostwa progu.

Zasie ten nie zazna klęski,
kto położy znak zwycięski,
co odpędza wrogi.

Taka tego znaku władza,
tak krzyż wiernych swych nagradza:
leczy, broni, zbawia.

Jencom daje wyzwolenie,
życiu niesie odrodzenie,
serca złe naprawia.

Jezu! Tych, co pieśń tę wnoszą,
usłysz z krzyża, gdy Cię proszą
o litość i łaski.

A pobożne krzyża sługi
po tym życiu w żywot drugi
przenieś w wieczne blaski.

Przełożył Ks. Fr. Błotnicki.





Nasze życzenia Wielkanocne!...

Czasy, które przeżywamy, — są naprawdę przełomowe... Wielu z nas tego nie dostrzega — zdaje się im, że noc, która ich otacza, wywołana długotrwałą wichurą i idącym za nią zniszczeniem nigdy się nie skończy... Widzą tylko połamane wokół krzewy, zniszczony urodzaj i zalegającą świat ciemność... Nie widzą blasków świtania...

Wprawniejsze jednak oko dostrzega jutrzenkę wschodzącego pogodnego dnia... Dzień to nie jakiś nowy, odmienny od tych, co już były, — zawierający w sobie jakąś niespodziankę... Nic nie niesie całkiem nowego — nie obwieszcza światu jakiejś nowej prawdy — przywraca jedynie do nowego życia obalone prawdy stare... Przywraca prawdziwą, chrześcijańską miłość bliźniego, przywraca душom tak upragnione wzajemne odczucie się, zrozumienie i spokój, — odpręża napiętą do ostateczności cięciwę łuku, wnosi z powrotem Chrystusa w życie rodzin, narodów i do szkoły...

Widzimy tego wszystkiego dodatnie, pocieszające objawy na każdym kroku... Widzimy wielki powrót do chrześcijaństwa odbywający się na oczach naszych... Do tego samego chrześcijaństwa, od którego ludzkość odwróciła się sto pięćdziesiąt lat temu... Powoli gruntował się ten zły i zgubny ruch w świecie... Zaczął się w warstwach wyższych tzw. oświeconych u narodów zachodniej Europy — a polegał na usiłowaniu stworzenia dla ludzkości nowych ideałów — te bowiem, które sam Syn Boży objawił swą świetlaną nauką a przypieczętował swą własną krwią i cierpieniem, — uznano za przeżyte... Nastąpiła epoka tzw. „racjonalizmu“ — wyzwalająca z pęt coraz nowe — coraz to bardziej brutalne siły — odrzucająca wiarę w ludzkie serce a uznająca wiarę w ludzkość jako taką, — depcząca z pogardą chrześcijańskie miłosierdzie a wznosząca w zamian

za to filantropię i humanitarność, — wypowiedająca wojnę Krzyżowi — a stawiająca na to miejsce bożka materialnego dosyту, molocha gwałtu i bezprawia dokonywanego na słabszym w imię fizycznej przemocy, — w imię wybujałych pragnień niczym nie krępowanego użycia jak najszerzej pojętego życia, swobodnego wyuzdania nie powstrzymanego żadnym hamulcem etyki...

Wszystkie te zmagania ludzkości błędzającej przez półtora wieku w gęstwinach materializmu rozpościerających się na bagnistym trzęsawisku niewiary oczekiwały obficie broczącą krwią ofiar zupełnie niewinnych...

W imię najszczytniejszych haseł i ideałów przelano już tej krwi morze całe... I dopiero teraz obłęd chwyta się głowy szalonych siepaczy, mordercza broń wylatywać im zaczyna z ręki a pijane szałem, krwią nabiegłe oczy pytają przerażone: Dokąd dalej?... Widzą, że z tej drogi, na którą weszli, nie ma wyjścia... że na końcu sami siebie będą musieli wymordować... Że przed nimi gaśnie wszelkie światło a grząski grunt pod nogami najwyraźniej się ugina... Zapadają się powoli w trzęsawisko...

Tymczasem świat próbuje się budzić ze straszego, poczwarnego snu.. Zła zmora słabnie i wypuszczać powoli zaczyna ludzkość zmęczoną i osłabioną ze swych katowskich szponów....

Pochowali ukrzyżowanego Chrystusa i złożone zostało ciało Jego do grobu — — a oto rano przyszli i zobaczyli odwalone kamienie grobowe... i grób był pusty.... Zmartwychwstał w tryumfie, blasku i mocy chwały wielkiej.... po to, oby zamieszkać na stałe w duszach naszych...

Przyszedł, aby je pocieszyć, umocnić, skrzepić — tak, jak wtedy Apostołów i uczniów krzepił duchem swoim i ciałem swoim... Przyszedł znowu i powtarza: „Jam jest droga i prawda i żywot“...

Nie dajmyż Mu już więcej odejść z serc naszych.. Niechże zamieszka w nich naprawdę na stałe... Niech cały świat odetchnie i otrząśnie się z tego brudu, tej krwi i tego błota... Budzi się z powrotem myśl chrześcijańska w całym szerokim świecie... I u nas w Polsce mamy radosne przejawy tego, — jest to prawda bijąca w oczy i ogarniająca wszystkie warstwy narodu...

Idźmy wszyscy na przeciw temu zmartwychwstałemu Chrystusowi, witając Go i niosąc słowa pocieszenia umartwionym bliźnim.. Dopomóżmy tym, których jeszcze kamień grobowy przytłacza, — do odrodzenia, do zmartwychwstania...

Niech spokój, miłość i prawda zapanuje na całym świecie...

Oto nasze życzenia świąteczne....

Odnowienie całego naszego życia w Chrystusiel....

Nie wystarczy podnieść słabego lecz trzeba mu dać podporę...

Szekspir.

Nie można wszystkim pomóc — mówi małoduszny i nie pomaga nikomu...

Ebner-Eschenbach.

Papież Pius XI.

(Szkic biograficzny).

Ojciec św. Pius XI, przed powołaniem na Stolicę Apostolską Achilles Ambroży Damian Ratti, urodził się 31 maja 1857 r. w niewielkim lombardzkim miasteczku Desio niedaleko Mediolanu z ojca Franciszka, kierownika małej miejscowej przędzalni, i matki Teresy z domu Galli. Początkowe nauki pobierał u przyjaciela swych rodziców ks. Józefa Volontieri, następnie w małym seminarium św. Piotra męczennika, seminarium w Monza, wreszcie w kolegium św. Karola Boromeusza w Mediolanie. Wakacje spędzał zawsze w domu swego stryja, ks. Damiana Ratti,



proboszcza w Asso, czulego opiekuna ubogich. Atmosfera domu rodzinnego, wpływ pobożnego stryja oraz osobiste skłonności zadecydowały o powołaniu kapłańskim młodego Achillesa Ratti. Wstępuje do wyższego seminarium w Mediolanie i w r. 1879 otrzymuje tam święcenia diakonatu. Ówczesny arcybiskup Mediolanu, Aloizy di Calabrana, oceniwszy słusznie wielką pobożność młodego kleryka i jego gorące zamiłowanie do nauki, wysłał Achillesa Rattiego na dalsze studia w Kolegium Lombardzkim a następnie w uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. W dniu 20

grudnia 1879 r. obecny Papież otrzymuje w bazylice Lateraneńskiej święcenia kapłańskie i pierwszą Mszę św. odprawia u grobu św Piotra a potem w celi św. Stanisława Kostki. Po studiach w Gregorianum uzyskuje ks. Achilles Ratti potrójny doktorat: teologii, filozofii i prawa kanonicznego, po czym powraca do archidiecezji mediolańskiej, gdzie pracuje przez lat trzydzieści. Mianowany zrazu wikariuszem skromnej parafii Barni, już po kilku miesiącach powołany zostaje na profesora seminarium wyższego w Mediolanie, gdzie wykłada teologię i wymowę kaznodziejską. Zwrócił tu na siebie, dzięki swej wielkiej sumienności naukowej, uwagę prefekta Biblioteki Ambrozjańskiej mons. Cerianiego, który w r. 1888 włączył ks. Ratiego do tzw. „kolegium doktorów” wspomnianej Biblioteki. Tu, jako rezultat swych prac archiwalnych ogłasza ks. dr Ratti wielkie czterotomowe dzieło „Acta Ecclesiae Mediolanensis“, przeszło 60 zwięzłych lecz treściwych monografij tyczących się dziejów Biblioteki Ambrozjańskiej, liturgii ambrozjańskiej, historii archidiecezji mediolańskiej i św. Karola Boromeusza. Odbywa liczne podróże, zwiedza biblioteki Rzymu, Paryża, Wiednia i Londynu, nawiązuje kontakt ściślejszy z wielu archiwistami całego świata. Praca bibliotekarska i naukowa nie pochłania wyłącznie ks. Rattiego. Jest on przede wszystkim i nadal kapłanem-duszpasterzem. Był kapelanem i kierownikiem duchownym zakładu „Cenacolo“, urządził rekolekcje, organizował wykłady katechetyczne dla dzieci przystępujących do I. Komunii św., zakładał stowarzyszenia o podkładzie religijnym, jak np. katolicki związek nauczycielek. Jedynie podczas wakacyj odrywał się od zwykłego ciężkiego i wyczerpującego trybu życia. Miłośnik przyrody, spędzał je najczęściej w Alpach, wspinając się na niebosiężne szczyty, by tam w pobożnym podziwie szeptać: „Benedicite glacies et nives, Domino”. Zdobywając w r. 1889 szczyt Dufour góry Monte Rossa, uzyskał sławę wybitnego alpinisty, co poparł jeszcze wydaniem „Scritti Alpinistici“.

W r. 1907 ks. dr Ratti, wówczas już prałat J. Św., zostaje po śmierci Cerianiego prefektem Ambrozjany, na którym to stanowisku pozostaje do r. 1911 ogłaszając cały szereg poważnych prac naukowych i wydając „Missale Ambrosianum Duplex”. Opuścił je na wezwanie Piusa X, który powołał go do Rzymu na stanowisko wiceprefekta a później prefekta Biblioteki Watykańskiej, mianując go jednocześnie protonotariuszem i kanonikiem bazyliki św. Piotra. W r. 1918 Benedykt XV z uczonego mons. Rattiego czyni dyplomatę, powierzając mu najpierw misję Wizytatora Apostolskiego a następnie pierwszego Nuncjusza w odrodzonej Polsce. Już jako Nuncjusz i arcybiskup tytularny Lepanto, ma do spełnienia trudne i niewdzięczne zadanie Wysokiego Komisarza Papieskiego dla terenów plebiscytowych Górnego Śląska. W czerwcu 1921 r. nuczusz Ratti opuścił na zawsze Warszawę, kreowany przez Benedykta XV kardynałem i mianowany arcybiskupem Mediolanu.

Na stanowisku tym niedługo pozostawał, lecz czas swego urzędowania w Mediolanie uświetnił otwarciem wielkiego uniwersytetu katolickiego, nad którego zorganizowaniem już od pięciu lat pracował uczony franciszkanin o. Gemelli.

W dniu 22 stycznia 1922 r. rozstaje się z tym światem Benedykt XV a konklawe w dniu 6 lutego powołuje na Stolicę Piotrową kardynała Rattiego, który przyjmuje imię Piusa XI.

Program swego pontyfikatu streścił Pius XI w haśle: „Pax Christi in regno Christi”. (Pokój Chrystusowy w królestwie Chrystusowym), zawartym w encyklice „Ubi arcano” z 23 grudnia 1922 r. Pragnie On znękaney i rozbitej ludzkości powrócić pokój przez przepojenie życia rodzin, narodów i społeczeństw duchem Chrystusowym. Temu celowi służy ustanowienie pod koniec Roku Jubileuszowego w encyklice „Quas primas” z dnia 11 grudnia 1925 r. święta Chrystusa-Króla oraz modłów do N. Serca Jezusowego na zadośćuczynienie wyrządzonych Mu obelg — w encyklice „Miserentissimus Redemptor” z 8 maja 1928 r. Ten sam cel mają na oku: encyklika o wychowaniu chrześcijańskim („Divini illius Magistri” z 31. 12. 1929) encyklika o małżeństwie chrześcijańskim („Casti connubii” z 31. 12. 1930), encyklika o odnowieniu społecznym („Quadragesimo anno” z 15. 5. 1931), encyklika o kapłaństwie (Ad catholici sacerdotii” z 20. 12. 1935) i ostatnia encyklika o kinematografii (r. 1936).

Dla pobudzenia życia religijnego ogłosił Pius XI odpustowy Rok Święty (encykliką „Infinita Dei Misericordia” z 29. 5. 1924), nadzwyczajny Jubileusz z racji 50-lecia Swego kapłaństwa (konstytucją „Auspiciantibus nobis” z 6. I. 1929), Jubileusz odkupienia (encykliką „Ouod nuper” z 6. I. 1933) zalecił ćwiczenia rekolekcyjne (enc. „Mens nostra” z 20. 12. 1929) i cześć N. Serca Jezusowego (enc. „Caritate Christi compulsi” z 3. 5. 1932), ogłosił szereg kanonizacyj i beatyfikacyj, podniósł do tytułu Doktora Kościoła św. Kanizjusza, św. Jana od Krzyża, św. Roberta Belarmina i św. Alberta Wielkiego.

Trudno w pobieżnym szkicu wyliczyć wszystkie encykliki i akta Piusa XI, z których każdy posiada doniosłe znaczenie i zawsze zmierza ku ednemu celowi: Pokojowi Chrystusowemu w Królestwie Chrystusowym. Czy to będą dokumenty dotyczące się Akcji Katolickiej, czy działalności misyjnej Kościoła („Rerum Ecclesiae”) czy sprawie zjednoczenia chrześcijaństwa („Rerum orientalium studiis” i „Mortalium animos”), czy zalecaniu studiów nad nauką św. Tomasza z Akwinu („Studiorum Ducem”) czy ogłoszeniu św. Franciszka Salezego patronem pisarzy i wydawców czasopism („Rerum omnium”), czy jakiegokolwiek inne, zawsze przyświeca im ta myśl naczelną. Nie ma dziedziny życia, nie ma objawu, któremu Pius XI nie poświęciłby uwagi. Gromi prześladowanie Kościoła w Rosji i Meksyku (enc. „Acerba animi”), ale wzywa do pomocy głodujących w tejże samej Rosji („Annus fere iam est”) i ubolewa nad kryzysem gospodarczym

nawołując do miłosierdzia („Nova impedit”). Popiera naukę i sztukę, buduje muzea i monumentalne gmachy w Mieście Watykańskim a jednocześnie pomaga wznosić świątynie tam, gdzie odczuwa się ich brak. Organizuje wielkie wystawy katolickie, jak Wystawa Misyjna w r. 1925 i ostatnia Wystawa Prasy Katolickiej, zawiera doniosłe układy polityczne z Paktami Laterańskimi i długim szeregiem konkordatów z różnymi państwami świata na czele. Nawiązuje wreszcie kontakt bezpośredni z wiernymi, przemawiając do nich osobiście już nie tylko podczas publicznych audycji, ale także przy rozlicznych okazjach przez radio.

Pius XI a Polska.

„Chcąc wam dać dowód głębokiego przywiązania i uznania, postanowiliśmy, aby w waszym kraju zastępował Nas syn Nasz Ukochany, Achilles Ratti. Wszystko za nim przemawia: gorąca miłość Boga i bliźniego, doświadczenie i zdolność orientacyjna...” — pisał w r. 1918 do biskupów polskich papież Benedykt XV, zawiadamiając ich o nominacji pierwszego w odrodzonej Polsce reprezentanta Stolicy Świętej, wówczas jeszcze tylko Wizytatora Apostolskiego. Lata następne wykazały, że powołanie do misji w Polsce uczzonego nieprzeciętnej miary, prefekta biblioteki watykańskiej, jakim był protonotariusz apostolski ks. Achilles Ratti, było istotnie dowodem wielkiej dla Polaków życzliwości Benedykta XV. Wizytator Apostolski a później pierwszy Nuncjusz w odrodzonej Polsce, mons. Ratti, okazał się rzeczywiście hojnie wyposażonym w cnoty i zalety, o których mówił Benedykt XV, a nadto szczerym i oddanym od samego początku przyjacielem naszego narodu.

Przypadkiem może było, że pierwszą wizytę złożył mons. Ratti w Polsce Cudownemu Wizerunkowi N. Marii Panny na Jasnej Górze, ale faktem jest, że Obraz ten tak dalece umiłował, że — już jako Papież Pius XI — kaplicę Swą w Castelgandolfo Jej czci poświęcił i imieniu. To jedno tylko już wskazywałoby, jak dalece polskim jest ten dziś tak umiłowany przez świat cały, czczony nawet przez nie-katolików sternik Nawy Piotrowej — Pius XI. Ale są inne jeszcze fakty.

Gdy w dniu 19 lipca 1919 r. składał jako Nuncjusz listy uwierzytelniające ówczesnemu Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu, powiedział te pamiętne słowa:

„Czuję się niewypowiedzianie zaszczyconym, że daną mi jest możliwość zaoferowania mego skromnego współdziałania w tym godnym podziwu dziele zmartwychwstania i tworzenia się od podstaw, i szczęśliwy będę, poświęcając temu dziełu to, co mi pozostanie z życia i zdolności do czynu”. Że nie były to tylko słowa, dał liczne tego i nieustanne dowody. „On to — jak pisze ks. biskup Teodor Kubina — stanął w Polsce jako świadek jej nowego, drugiego życia; On ją z kolebki dziejów podniósł przed

ołtarz Boży, On ją poświęcił i błogosławił, On ją swoją osobą złączył jak najściślej z Kościołem Chrystusowym i Stolicą Apostolską, On złożył dla niej śluby wierności Bogu”.

Już w pierwszych miesiącach pobytu w naszym kraju, szybko zorientowawszy się w polskich stosunkach kościelnych, uzyskał od Benedykta XV nominację dziesięciu nowych biskupów polskich. Następnie przyczynia się do utworzenia nowych diecezji, gorąco popiera sprawę powstania uniwersytetu katolickiego w Lublinie, przygotowuje materiały do podpisanego w r. 1925 konkordatu.

Kiedy nawała bolszewicka zbliżała się w sierpniu 1920 r. do bram Warszawy, Nuncjusz arcybiskup Ratti nie opuszcza jej murów, lecz telegraficznie prosi Papieża o możliwość pozostania na miejscu nawet w wypadku zajęcia jej przez nieprzyjaciela. Decyzja ta wynikała niewątpliwie z nieraz wyrażanego przeświadczenia: „Jestem przekonany, że Bóg, który w tak cudowny sposób wrócił wolność waszemu narodowi, chce przez niego swoje przeprowadzić plany i przeprowadzi je mimo wszystko”.

„Jestem przyjacielem Polski — mówił kiedyś do ks. posła Kotuli. Gotów jestem tu całe życie pozostać, a nawet nic nie miałbym przeciw temu, aby na waszej ziemi złożono kości i prochy moje. Ukochałem waszą piękną ojczyznę, z racji Polski zostałem biskupem, w Polsce zostałem konsekrowany na biskupa przez biskupów polskich... Ja jestem właściwie biskupem polskim“. I rzeczywiście, jak polski biskup zwiedził niemal całą Polskę, modlił się na Jasnej Górze, na śniegu klęczał w Wilnie przed Ostrą Bramą, poznał wieś polską, męczeńskie Podlasie, Chełmszczyznę... Zwiedzał szpitale, przytułki, w szczególności troszcząc się losem ubogiej dziatwy. W Warszawie objeżdżał zaułki Woli, Powiśla i Ochoty, cieszył się widokiem dziatwy, tulił ją do siebie, przemawiał czule a w nuncjaturze zawsze znajdował dość czasu, by nikomu nie odmówić audiencji.

Kiedy z woli Opatrzności powołany został na Stolicę Piotrową, zaraz po swym wyborze zwrócił się do obecnych kardynałów polskich: „W osobach waszych widzę i pozdrawiam Polskę, błogosławię jej i proszę jej synów, aby się za mnie modlili... Powiedzcie Polakom, że kochałem i nadal kochać będę drogą Polskę, za którą nigdy modlić się nie przestanę“. Nie zapomina o Polsce Pius XI i obecnie, gdy mimo cierpień fizycznych z powodu choroby i ciężkich bólów moralnych, jakie Mu sprawia troska o los Kościoła w Hiszpanii, Rosji, Meksyku, Niemczech, nowemu Nuncjuszowi w Polsce arcybiskupowi Cortesiemu mówi o swej miłości dla naszego kraju i polecając mu przynieść nam Jego apostolskie błogosławieństwo każe zapewnić, że Polska w sercu Jego zajmuje i zajmować będzie zawsze miejsce uprzywilejowane.

Takie jest źródło wielkiej miłości do naszego kraju tego, którego słusznie nazwać możemy „polskim“ Papieżem, jeżeli sam chętnie mienił się polskim biskupem. Wyjaśniają to słowa wypowiedziane w Warszawie

do dyplomaty angielskiego Sir E. S. Howarda: *„Kocham polski naród z powodu jego pięknej prostoty ducha, wypełnionego mocną wiarą. Według mnie nie ma wiary bez prostoty ducha. I właśnie dlatego, że Polacy są tak w duchu prości, ich dobroć — jeżeli są dobrzy — jest niezrównana. A nawet jeżeli są między nimi źli, to zaleta ich ducha sprawia, że nie są oni tak źli jak źli ludzie innych narodów. W każdym Polaku jest zawsze wysiłek wiary i dlatego w najgorszym nawet spomiędzy nich jest wysiłek dobroci“.* (KAP).

TEODOR RUDNICKI.

Blaski i wonie świętości.

Garsć szczegółów z życia śp. Ks. Bronisława Markiewicza.

(Ciąg dalszy).

III. W służbie Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie. Cześć i miłość dla Pana Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie Ołtarza — były najczęstszym tematem przemówień wieczornych i kazań do młodzieży u śp. Księdza Rektora. Cały też prawie zakład przystępował codziennie do Komunii św.

Rozdawanie Komunii św. było ogromną rozkoszą dla śp. Ks. Rektora. Z wielką radością nosił Ją również i to jak najwcześniej rano chorym, spiesząc się, aby tylko jak najprędzej ten Niebieski Posiłek im zanieść.

Oto już po nabożeństwie w kościele parafialnym. Wszyscy już wyszli — jako ostatni poszedł też i Ks. Rektor na plebanię. Co chwilę jednak patrzy oknem, czy któraś z sióstr lub czy też ktoś z zakładu męskiego, którym obowiązki nie pozwoliły być na nabożeństwie i przystąpić wspólnie do Komunii św. — nie śpieszy w pojedynkę do kościoła. Skoro kogoś ujrzał, biegnie za nim natychmiast — bo może spóźniony nie miałby odwagi trudzić go osobno o to -- i pyta: dziecko drogie, dać ci Komunię św.? — A powtarzało się to kilka razy codziennie!

Tylko bezgraniczna miłość do Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie i miłość bliźniego — kazały mu tak postępować!

IV. W zachwycie przed tabernakulum. Było to może w rok przed śmiercią śp. Ks. Rektora.

Do kaplicy zakładowej wieczorem wchodzi ks. K. i w świetle wiecznej lampki migocącej przed ołtarzem ujrzał klęczącą przed tabernakulum postać śp. Księdza Rektora w niezwykle głębokim skupieniu — z obliczem wpatrzonym w tabernakulum, — bez ruchu — jakby w zachwyceniu. Ks. K. odczuwszy jakiś niezwykły stan modlącego się — cofnął się z kaplicy wcale niezauważony przez śp. Ks. Rektora i poszedł do swej pracy. Za kilka minut przychodzi do niego głęboko wzruszony Ks.

N. i woła go do kaplicy, żeby zobaczyć niezwykle zjawisko. Ks. K. odpowiedział, iż wie już o co chodzi; istotnie Ks. N. zauważył ten sam stan zachwycenia śp. Ks. Rektora, co poprzednio Ks. K.

Tak bywało w ciszy — „sam na sam“ — z Jezusem utajonym w Najśw. Sakramencie Ołtarza.

Śp. Ks. Rektor — jakkolwiek był ustawicznie głęboko skupionym — to jednak żadnych nadzwyczajnych oznak tego stanu na zewnątrz nie okazywał: modlitwa jego była zawsze modlitwą człowieka zatopionego całkowicie w Duchu Bożym „który nie lubi zgiełku“.

Mszę św. obprawiał dosyć szybko ale z wielkim skupieniem i uszanowaniem.

V. O Felix culpa... Śp. Ksiądz Rektor przygotowywał zawsze stannie dusze i serca swych wychowanków na uroczyste święta kościelne — pragnąc aby nie tylko były czyste i wybielone na przyjęcie Pana Jezusa — ale żeby również przeżyły głęboko wszystkie religijne i wychowawcze momenty, zawarte — czy to w bogatej treści, czy też wyrażone w pięknych i symbolicznych formach liturgicznych świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocnych — lub innych. O tym mówił często zwłaszcza na przemówieniach wieczornych lub też wypisywał na każdy dzień prawdziwe skarby uczuć i myśli na kartkach, które umieszczane w tzw. „Bukieciuku nowenn“, młodzież skwapliwie wyczytywała.

Było to w Wielkim Tygodniu może w roku 1902. — Zachwycając się głęboką i wielką miłością Boga — iż tak ukochał ludzi, że Syna swego posłał na świat, aby okrutną męką i śmiercią swoją nie tylko odkupił rodzaj ludzki — lecz i wzbogacił w niezliczone łaski i dary — podniósł, iż Kościół Boży w rozważaniu tego niepojętego cudu miłości Bożej nazywa nawet winę Adama szczęśliwą — dlatego, że sprowadziła na ziemię takiego Odkupiciela.

W wielką sobotę wyznaczono mię do służenia jako ministranta przy ceremoniach wielkosobotnich i do Mszy św. w kościele parafialnym. Jako student gimnazjalny poznałem już język łaciński; wsłuchiwałem się zawsze w treść modlitw, pragnąc je zrozumieć. W pewnej chwili słyszę drżącym z wzruszenia głosem wyśpiewane przez śp. Ks. Rektora słowa: „O felix culpa, quae talem meruisti habere Salvatorem“. Wzruszony tym również — popatrzyłem na twarz śp. Ks. Rektora i zauważyłem jakby łyzy jego oczach.

Moment ten tak głęboko utkwiał mi w pamięci, że dziś jeszcze i głos ten wzruszony i postać śp. Ks. Rektora żywo mi się przypomina.

VI. Powody smutku i radości. Dzieci z obu zakładów — męskiego i żeńskiego — przepadały za śp. Księdzem Rektorem.

One też garnąc się do niego, zdołały nieraz prędzej niż starsi zauważyć lekkie nawet zasmucenie — czy też większą radość u swego

„ukochanego ojca“. Pytały więc też zaraz, dlaczego tak smutny jesteś dziś, Ojczy? — Głaskając ich główki odpowiadał z uśmiechem: to dlatego, dzieci kochane, że dziś mam mało krzyżów. A gdy znów pytały o powód radości — mówił: cieszę się dziś, dzieci kochane, bo Pan Bóg dał mi ciężki krzyż.

Istotnie nie mały był ten krzyż w r. 1902, gdy ze strony, skąd powinien był otrzymać najwięcej poparcia i zrozumienia, doznał takich przeciwności, iż zdawało się, że wszystkie owoce jego trudów i wysiłków rozwała się w gruzy. On jednak nie tylko nie zwątpił w trwałość swego dzieła, które w głębokim swym przekonaniu uważał przede wszystkim za dzieło Boże — a siebie tylko za lichego sługę tej sprawy — lecz w krzyżach i doświadczeniach tych widział nawet dowody szczególnej opieki Bożej, która zwykła doświadczać dzieła wielkie i sługi Boże dla ich większego dobra. Weselił się więc, jak niegdyś apostołowie, iż mógł dla sprawy Bożej cierpieć prześladowanie.

VII. W umiłowaniu pokory. W jakiś zimowy poranek, gdy wszystkie siostry z dziećmi poszły już do kościoła a tylko siostra L. pozostała w kuchni starej plebanii, by przygotować posiłek poranny dla sióstr i wychowanek — wchodzi do kuchni jakiś pochylony, ubogi podróżny, z czapką pod pachą — i prosi choć o kawałek chleba.

Poczekajcie chwilkę, dziaduniu — odpowiada siostra L. — bo teraz nie mogę odejść od kuchni. Podróżny zaczekał cierpliwie aż siostra podała mu chleba i mleka. Skosztowawszy trochę tych darów, oddał resztę, podziękował uprzejmie i wyszedł. Dopiero gdy był już na podwórzu — poznała siostra L., że to śp. Ks. Rektor we własnej osobie z pokory wielkiej, uniżywszy się do roli żebraka o jałmużnę prosił — idąc z zakładu męskiego po odprawieniu tam Mszy św. do kościoła parafialnego.

VIII. Poszanowanie darów Bożych. Droga z kościoła parafialnego do zakładu męskiego prowadzi przez podwórze plebańskie. — Drogę tę przemierzał śp. Ks. Rektor przynajmniej cztery razy codziennie: rano wczesną z zakładu męskiego do kościoła, przed dwunastą w południe — znów z powrotem na wspólny obiad do zakładu — potem znów na plebanie i wieczorem do zakładu męskiego na pacierze wieczorne i spoczynek.

Przechodząc przez podwórze plebańskie, które wchodziło w obręb gospodarczy zakładu żeńskiego sióstr, zbierał napotkane na swej drodze różne drobiazgi — jak ostrużyny ziemniaków, zanosząc je krówkom do obory; nie pominął nawet drewniaków — zanosząc je do drewni, ani nawet kilku słomek — zbierając je i zanosząc do stodoły, stojącej również przy tej drodze.

Czynił to nie z jakiejś przesady, ani też z filozoficznej cnoty oszczędności — ale z wdzięczności dla Opatrzności Bożej, która tyle darów dla dobra i szczęścia człowieka uczyniła; patrzył bowiem śp. Ks. Rektor

na wszystko nawet i w najdrobniejszych sprawach, zawsze pod kątem wieczności.

Jakież zbawiennie działał ten przykład na tych, którzy pod jego kierunkiem żyć się uczyli.

IX. Res sacra — miser. Błogosławieni miłosierni...

Któż bardziej rozumiał to wielkie błogosławieństwo Chrystusa i całe swe życie sprawie chrześcijańskiego miłosierdzia oddał nad śp. Ks. Rektora, który wszystkim dosłownie z wszystkimi się dzielił — stając się na wzór Boskiego Zbawiciela — „wszystkim dla wszystkich“.

Nie tylko jednak zakłady sieroce były wyrazem jego miłosiernego serca: miłosierdzie to rozlewało się szeroko wszędzie tam, gdzie tylko potrzebujących pomocy duchowej czy materialnej zauważył.

Żadnego także ubogiego, czy żebraka nie wypuścił od siebie — nie obdarowawszy go i nie pocieszywszy.

Ponieważ każdy grosz oddawał na zakłady — nie miał nieraz przy sobie dosłownie ani „centa“. Zakłopotany wtedy, że nie może nic dać ubogiemu — wyjmował medalik lub obrazek i wręczając go — wlewał zarazem w serdecznych słowach balsam otuchy i pocieszenia do duszy proszącego o jałmużnę. Głodnych lub spragnionych prowadził zawsze do kuchni i tam prosił siostry o posiłek dla nich.

W przemówieniach swych nieraz podnosił, że ubodzy zawsze byli uważani przez Kościół Boży za prawdziwy skarb jego.

Wiatr gasi łożówkę a rozplomienia pochodnię.

(Dokończenie).

A jednak są ludzie, których właśnie to niepokoi najwięcej, że ma się tu do czynienia z jakimś pierwiastkiem nadprzyrodzonym — z jakimś światem pozazmysłowym — z czymś nieuchwytnym i niewidzialnym, — z czymś, co leży poza materią.

Im tak dobrze z tym „materialnym“ światem — z tą sferą zmysłów, w których wszystko rzekomo jest dla nich jasne, zrozumiałe, pozbawione zagadkowości...

Ci ludzie nie znoszą żadnych zagadek, żadnych przenośni, żadnych symboli, żadnej duszy..

Wszelka zagadkowość i tajemniczość męczy ich i nuży... Dusza ich zamknięta w ciasnej szafie ich realistycznego światopoglądu ma dla siebie w niej przeznaczoną skromną półeczkę, z której wychodzi tylko na jakieś wielkie święto — dla zadokumentowania swego istnienia — tak od parady. Biedna, schorząła, anemiczna dusza wstydzi się poniekąd swego istnienia i zażenowana czym prędzej powraca do swego ukrycia... Związana w kajdany płaskich, uciech zmysłowych wypowiedziała wojnę wszystkiemu, co trąci tylko innym światem, jak ten, w którym żyć jest zmuszona...

Wszystko to dlatego, że duszy nie wolno upomnieć się o swoje prawa, — że sercu nie wolno miłować i że wszystkie najświętsze dotychczas ludzkie uczucia zostały podane w poniżenie i pogardę..

A przecież dusze te miały być twierdzami wzniosłych zasad, — miał w nich królować Bóg a z Nim dobro i prawda, i piękno...

— — — — —

Nie mógł szatan w chytrłości swojej zdobyć się na większą, bardziej wyrafinowaną zbrodnię jak wmówić człowiekowi, że w modlitwie, w umiłowaniu Boga, w poświęceniu dla bliźnich, w zaparciu się własnym, w miłosierdziu można „przesadzić“... można być „za dobrym“...

Od tego się zaczęło, że zaczęliśmy naśmiewać się z tych, co praktykowali pewne chrześcijańskie cnoty... Ten się za nadto chełpił i przechwalał swoim miłosierdziem, tamten za długo się modlił, inny zbyt często naprzykrzał się ze swym moralizatorskim gadaniem... Zaczęła nas razić u tych ludzi „przesada“... Zaczęliśmy im powoli przyczepiać łatki... Ten jest obłudnikiem i faryzeuszem, — tamta jest dewotką, — ów znowu egzaltowany, chory człowiek z śmiesznym patosem, nienaturalną emfazą, popadający ciągle w jakieś „nierealne“ zachwyty... Zdusiliśmy w ten sposób u ludzi ich naturalną uczuciowość, odebraliśmy im nawet prawo cieszyć się ze swych dobrych uczynków... I ludzie poczuli powoli tego wszystkiego się wstydić... Zaczęli się robić umiarkowani, więcej realni, — mniej uczuciowi, — bardziej „normalni,“ — coraz to mniej „entuzjaści“... W końcu udało się księciu ciemności zadusić u człowieka tę resztę dobrych popędów, jakie w nim jeszcze tkwiły... szpik pacierzowy, który podtrzymywał życie, wyschnął... Ludzie zatracili powoli serce, zatracili duszę... Stali się mądrzy, realni, praktyczni... Pozbawili się zawadzającego im i niewygodnego zaziemskiego pierwiastka, — ogołocili się z Boga.

Bo nie chcieli być „za nadto dobrzy“, aby nie popaść przez to w śmieszność... Bo wszelka przesada jest śmieszna... I dobroć do potęgi — to już nie dobroć, — bo czyż może być dobrym, co jest śmieszne? Wprawdzie wygląda to na paradoks — wygląda tak jakby przez ciągłe mnożenie i potęgowanie dochodziło się w końcu do zera... Jakby to, co jest czymś dodatnim (+) przez nagromadzenie w zbyt wielkiej ilości mogło się stać czymś ujemnym (—). A jednak w ten paradoks ludzie uwierzyli... I poczuli się wstydić swego entuzjazmu, jaki okazywali dotychczas dla rzeczy wzniosłych, poczuli się wstydić „przesadnie“ się modlić, — „przesadnie“ kochać Boga, — poczuli się powoli cofać...

Od tego unikania „przesady“ w rzeczach dobrych do zupełnego ich zatracenia krok tylko... Bo i cóż dziwnego... Jakikolwiek organ nie używany tępieje, zanika... Stałe stosowanie tej zasady „nieprzesadzania“ — doprowadza powoli do zupełnego „zaniechania“... I oto doszliśmy do doskonałości... Zaniechaliśmy naszej duszy, zaniechaliśmy Boga, zaniechaliśmy naszego serca, w którym ten Bóg mieszkał...

Pozostał rozum i żołądek...

I szatan, który się śmieje...

Żarliwość naszych uczuć religijnych powinna być u nas dziś znacznie większa niż u pierwszych chrześcijan... Oni przecież stali dopiero u początku samego tej nauki, którą nam wyłożył Chrystus... Oni czuli wiele — ale nie rozumieli jeszcze wszystkiego tak dobrze, jak my moglibyśmy rozumieć...

Moglibyśmy, gdybyśmy chcieli...

Jak ten robotnik pracujący gdzieś w dużej hali ogromnej fabryki przy swoim wyznaczonym mu kawałeczku miejsca nie jest w stanie ogarnąć swą najgłębszą nawet przenikliwością umysłu całości zadań, jakie spełnia wielki zakład przemysłowy, — i wiele zagadnień zostaje dla niego okrytych tajemniczością — tak i dla nas pozostanie zawsze głęboka tajemnica leżąca na dnie naszej wiary, w którą spowiła ją ręka boskiego Nauczyciela... Poniękad czasem bardziej lub mniej wyraźnie do niej się zbliżamy — mysterium jednak męki Jego poniesionej niewinnie dla dobra człowieka, dla dobra ludzkości powinno być naszym drogowskazem...

Ta wielka tajemnica Odkupienia, — to przykazanie miłości, które nam pozostawił, idąc na śmierć, — powinny nam wystarczyć do tego, aby wiara nasza była dość silna. Przykazanie miłości nie jest trudne do zrozumienia — może trudniejsze do wykonania, — wymaga ono bowiem od człowieka jak najdalej idącego samozaparcia się i ograniczenia w swych potrzebach, na rzecz bliźnich. Ono łączy człowieka z Bogiem, który się ukrył w duszach tych małuczkich, opuszczonych, słabych, ułomnych i cierpiących... Im to mamy nieść pomoc... Bo i po cóż byłoby wspierać ludzi zdrowych, silnych, szczęśliwych? Oni sobie dadzą radę i bez nas, — ale co poczną bez nas ci, którzy potrzebują naszej pomocy? Musimy poświęcić się w całości tej idei miłosierdzia, jeśli wiara nasza ma być żywa, — musimy przejść przez strome góry zaparcia się i samopoświęcenia, rozbudzić w sobie gorący entuzjazm dla tej sprawy, musi się w nas rozpalić to uczucie jak jasna, gorejąca pochodnia, której byle wichur nie zdmuchnie... Nie może ono płonąć ogniem lichej świeczki, bo wichur rozhulał się po świecie i świeczkę taką zagasi. Im większa wichura, tym silniejszy musi być płomień... A wtedy przebiję on otaczające nas ciemności i dosięgnie Niebiosów. Przyniesiemy pokój i szczęście cierpiącej ludzkości... będziemy przed nią nieść nasz płomień wiary jak Prometeusza... Staniemy się prawdziwymi wtedy dopiero „nadludźmi“...

Znajdujemy w ewangelii jasne i proste wskazania, co mamy czynić...

Wszak powiedział Chrystus:

„Każdemu, który by Cię prosił, daj — a kto bierze, co twój jest, nie upominaj się“ ¹⁾.

„Kto ma dwie suknie, niech podzieli się nimi z niemającymi; a ten, kto ma co jeść, niech uczyni podobnie“ ²⁾.

¹⁾ Łuk. VI, 38—2, ²⁾ Łuk. III, 11.

„Dajcie jako jałmużnę raczej to, co jest wewnątrz (w sercach waszych) a przez to wszystkie rzeczy będą dla was czyste“ (obmyjecie swe winy) ¹⁾.

„Dajcie a będzie wam dano: miarą dobrą i natłoczoną, i potrząsioną, i opływającą dadzą na łono wasze. Bo też miarą, którą mierzycie, będzie wam odmierzono ²⁾).

Czyż można szukać bardziej jasnych wskazań i czy możemy jeszcze błędzić i krążyć, skoro droga jasno wskazana przed nami?

Czy nie są te wskazania fundamentem i podstawą całego wspaniałego ustroju społecznego, który powinien bez walki, bez gwałtu, bez przemocy żadnej zaświtać na tym naszym padole płaczu i przynieść wszystkim tak pożądane szczęście i upragniony spokój, gdybyśmy tylko chcieli pójść na prawdę śladami Chrystusa...

Gdybyśmy tylko chcieli... wielkie słowo!

I znowu przypomnieć należy, że Chrystus nie uczył nas połowicznej umiarkowanej miłości bliźniego — ale pełnej miłości, pełnego poświęcenia..

I nie powiedział Chrystus, że można tę naukę połowicznie rozumieć — i tak sobie, ot! coś niecoś uczynić — dla formy i dla oka ludzkiego a w duszy zachować na dnie egoizm i sobkostwo, umiłowanie tylko siebie...

Powiedział przecież wyraźnie, że kto nie jest z Nim, jest przeciw Niemu i że kto z Nim nie zbiera, rozprasza.

Więc mamy jasno wytkniętą drogę i dlategoż jeszcze się ociągamy? Dlaczego szukamy jakichś nowych dróg?

Starajmy się zasady i nauki dane nam przez Zbawiciela wcielić jak najdokładniej w życie nasze... Starajmy się wedle możliwości naśladować Go w Jego dziełach... Pójdźmy za Nim... Wszak On jest prawdą i światłem naszym, drogą i żywotem... Nie zagradzajmy Mu drogi do naszego serca, wskreśmy je, rozbudźmy na nowo to nasze biedne, ludzkie, znękałe serce, a wybuchnie ono ogniem jasnym i czystym, który ogrzeje całą ludzkość.. Wygaśnie w nas wtedy wszelki gniew i złość, zawiść i zazdrość, pycha i sobkostwo — te najstraszniejsze wady, które doprowadziły ludzkość do ostatecznego upadku i poniżenia...

I odrodzi się wtedy człowiek w jednostce i całej społeczności. Odrodzi się wraz z Chrystusem, który zawitał z powrotem do jego serca. Nauka Chrystusowa stanie się regulatorem całego naszego życia a nie tylko pewnej drobnej cząstki jego przejawów. Wyznawanie tej nauki a niestosowanie jej zawsze i wszędzie — otwarcie i jawnie w całym życiu naszym, — na każdym miejscu i o każdym czasie nie jest pełnym i należyтым wyznawaniem wiary... Jest to tylko płomień słabej świeczki, którą lada wiatr zdmuchnie...


A przecież nikt z nas nie pragnie, aby świat zalały ciemności...

Katastrofa ta jednak musi nieuchronnie nastąpić, jeżeli damy wygasnąć w naszych sercach światłu wiary, — jeżeli gorejącego płomyka nie rozdmuchamy w płonąca wielkim blaskiem pochodnię...

Stan. Sklerczyc.

¹⁾ Łuk. XI, 40—41, ²⁾ Łuk. VI, 38.

NA WIELKANOC.



*J*utrzenka świat rumieni,
niebiosa drżą od pieni,
z radości człowiek skacze,
a tylko piekło płacze.

*B*o oto Król ów dzielny
wstał z grobu nieśmiertelny,
podeptał moc szatana
i światu wolność dana.

*C*hoć legł pod grobu skalą,
z martwychwstał z wielką chwałą;
choć strzeżon przez żołnierze,
nad śmiercią triumf bierze.

*N*iech ścichną piekła głosy,
niech rwie się pieśń w niebiosy —
„Pan z martwych wstał dziś rano!”
ogłosił światu anioł.

Kapłan i Ofiara.

*Ksiądz Leopold Giloteaux * 1886 † 1928.*

W Daneé (Orne) na zamku de la Beuvrière zmarł kapelan, który spełniał tu obowiązki kapłańskie od r. 1923, w czterdziestym drugim roku życia. Był nim ksiądz Leopold Giloteaux.

Pamięć o nim, jak zresztą pamięć o wielu innych dobrych kapłanach, zaginęłaby, gdyby nie „Notatki duchowne”, które ten sługa Boży pozostawił po sobie

Zasługują one na uwagę, ze względu na ich nadprzyrodzoną wzniosłość, która świadczy o stanie duchowym autora ich. Miesiąc przed śmiercią, w czasie choroby, zwierzył się ksiądz Leopold bratu swemu, ks. Pawłowi Giloteaux, listownie, że posiada „Notatki duchowne”, odzwierciedlające wiernie stan jego duszy. Starszy brat, pragnąc je poznać, poprosił ks. Leopolda o przysłanie ich sobie. Otrzymał je kilka dni przed śmiercią ks. Leopolda.

„Notatki duchowne“ zawierały myśli ks. Leopolda i łaski od Boga otrzymane.

Ks. Paweł Giloteaux mając ten skarb w ręku, zapragnął zapoznać z nim szerszy ogół kapłanów, dla ich duchownego pożytku. Musiał jednak na to mieć pozwolenie ks. Leopolda.

Ks. Leopold, przez wrodzoną sobie skromność, odmówił prośbie, zaznaczając, że „Notatki“ są tajemnicą jego duszy, więc powinny pozostać w ukryciu. Nie omieszkał przy tym nadmienić, że nieraz życiorysy pobożnych kapłanów publikowane były dla zbudowania innych, a osiągnęły wręcz przeciwny skutek. Podejrzliwa opinia publiczna dopatrywała się w takim dziele pychy i poszukiwania własnej chwały, a tym samym dzieło kosztowne nie wydawało owoców pożądaných. Życzył sobie zresztą ks. Leopold pozostać i po śmierci w ukryciu.

Uwagi ks. Leopolda uznał brat jego za rozsądne, jednak tłumaczył ks. Leopoldowi, że tu chodzi wyłącznie o chwałę Bożą. Cierpienia i życie w ukryciu były przeznaczeniem życia ks. Leopolda, lecz działalność nadprzyrodzona, przez rozpowszechnienie jego „Notatek duchownych“, stać się może jego udziałem po śmierci. Życie św. Teresy od Dzieciątka Jezus było również ukryte i nieznane nikomu, a po śmierci pisma Jej spełniają misję opatrnościową.

Wreszcie pozostawił ks. Leopold bratu zupełną swobodę działania.

Otrzymane „Notatki“ i zezwolenie ks. Leopolda upoważniły brata do napisania książki pt. „Kapłan i Ofiara ks. Leopold Giloteaux”.

„Notatki duchowne“ spisywane były przez ks. Leopolda dorywczo; trzeba je więc było ująć w pewną całość, która by była wyrazem ducha, jaki ks. Leopolda ożywia.

Kreśląc obraz życia i przymiotów naturalnych ks. Leopolda, starał się autor zaznajomić czytelnika i z cnotami ks. Leopolda i jego dążeniem do

doskonałości. Opisał więc: modlitwę, stan nadprzyrodzony jego duszy, ćwiczenia w miłości Boga i bliźniego, oraz jego ducha ofiary, jako ofiary całopalnej. Przynotował również jego przedziwne myśli, świadczące o stanie duszy ks. Leopolda, zwłaszcza w ostatnich dniach jego życia. Opisał wreszcie śmierć jego i pogrzeb, oraz łaski, jakie za przyczyną ks. Leopolda, wierni otrzymywali.

Książka ta dzieli się na dwanaście rozdziałów, których tytuły:

- | | |
|-----------------------------|----------------------|
| 1. Na tej łące dolinie. | 7. Miłość bliźniego. |
| 2. Przymioty naturalne. | 8. Duch ofiary. |
| 3. Pragnienie doskonałości. | 9. Ofiara całopalna. |
| 4. Cnoty główne. | 10. Rozwój cnót. |
| 5. Duch modlitwy. | 11. Łaski mistyczne. |
| 6. Miłość Boga. | 12. Pogrzeb. |

Życie ludzkie jest trudem, walką i ofiarą, lecz Bóg daje człowiekowi łaskę, gdy o nią prosi, a żąda w zamian, by chrześcijanin wstępował w ślady Chrystusa i przez Kalwarię doszedł do wiekuistej radości.

Ks. Leopold tak pisze w swych notatkach:

„Boleść na Kalwarii poprzedziła zmartwychwstanie, lecz radość zmartwychwstania musi być następstwem bólu i rozłączenia.

Boleść jest dolegliwością zwyczajną i nieuniknioną, bólem pożądanym życia chrześcijańskiego, oczekiwaniem spełnienia obietnicy, a więc nadzieją spokojną i pewną, bo odkupioną dla dusz naszych Krwią Chrystusa Pana”.

„Życie nie może być zupełnie szczęśliwe, gdyż nie jest niebem, ani też całkiem nieszczęśliwe, gdyż prowadzi do nieba. Chcąc być szczęśliwym, trzeba być szlachetnym, bo szczęście spoczywa w duchu ofiary”.

Nauka chrześcijańska uczy, że życie jest padołem łąki. Żyjąc, musi człowiek cierpieć, jeśli chce otrzymać nagrodę wieczną. Stopień naszej szczęśliwości po śmierci zależy od stanu duszy w godzinę śmierci. Przez cierpienia zbieramy zasługi na żywot wieczny. Im więcej cierpień, tym większa radość czeka nas w niebie.

Umartwienie oczyszcza i uświęca. Dusza umartwiająca się będzie wielbiona i czczona w domu Ojca Niebieskiego.

Książdz Leopold, dzięki swym przymiotom naturalnym, mógł być zdobyć sobie i szczęście ziemskie. Dla zdobycia jednak szczęścia wiecznego, wzgardził on szczęściem ziemskim.

Życie jego było prawdziwą drogą krzyżową, lecz cierpiał bez narzekań i był szczęśliwy, że może cierpieć dla chwały Bożej i dla dobra dusz.

Czyniąc z własnych cierpień ofiarę, ufał, że osiągnie w końcu wyżynę świętości.

Ale przejdźmy do życiorysu jego.

Ks. Leopold Giloteaux urodził się 22 lipca 1886 r. w Fourmies półn. Francji. Na chrzcie świętym otrzymał imiona: Leopold, Henryk, August, Sylwester. Ojciec ks. Leopolda w młodości swej miał zamiar poświęcić się stanowi duchownemu i nawet ukończył małe seminarium w Cambrai, gdzie się odznaczał zdolnościami i wzorowym zachowaniem. Jednak wrócił do życia świeckiego. Po odbytej służbie wojskowej, którą spędził w francuskiej Kochinchinie, wrócił do Francji i ożenił się z siostrą kolegi swego z seminarium. Państwo Giloteaux mieli troje dzieci: dwóch synów tj. Pawła i Leopolda, oraz córkę Łucję, która będąc dzieckiem jeszcze, umarła. Po dziesięciu latach życia małżeńskiego umarł i ojciec, pozostawiając wdowę z dwoma synami nieletnimi. Matka, mimo wątłego zdrowia, odznaczała się silnym charakterem. Jedynym jej pragnieniem było synów tak wzorowo wychować, by zostali kapłanami.

Wśród trudów, których jej wdowie życie nie szczędziło, wiara tylko była jej ostoją.

Książd Leopold był młodszym synem. Już w dzieciństwie odznaczał się bystrością umysłu, a myśli jego owiane były wiarą i postanowieniem dążenia do ideału. Gdy umierający wuj wezwał go do swego łóża, zapytał on Leopolda: „Dziecko moje, czy ty wiesz, czego Bóg oczekuje od ciebie?“ — „Nie wiem, mój wuju“ — odpowiedział Leopold.

Wtedy wuj odpowiedział: „Bóg żąda, ażebyś został świętym“.

Słowa te głęboko zapadły w pamięć dziecka i zaważyły nad całym jego życiem. Dążył przez całe życie do świętości.

Już w szkole elementarnej wyróżniał się wśród dzieci inteligencją i zachowaniem.

W dziesiątym roku życia zachorował na zapalenie płuc. Niewyleczona choroba przeszła w przewlekłe cierpienie, które towarzyszyło Leopoldowi w ciągu całego życia.

Po ukończeniu szkoły elementarnej otrzymał w konkursie najwyższą nagrodę departamentu. W tym samym roku przystąpił po raz pierwszy do Komunii świętej, w kościele św. Piotra w Fourmies. W nauce religii celował Leopold, nic więc dziwnego, że Komunię świętą przyjął po gruntownym przygotowaniu do tak ważnego aktu, z takim skupieniem, że zwrócił na siebie uwagę obecnych w kościele. W imieniu towarzyszy odmówił głośno akt odnowienia Chrztu świętego, a świadkowie tego opowiadają, że czynił wrażenie Cherubina, który zszedł z nieba, by wielbić Boga w Eucharystii.

Pierwszej Komunii św. udzielił Leopoldowi biskup Monnier z Lyddy a sufragana arcybiskupa z Sonnois w Cambrai udzielił mu Sakramentu Bierzmowania.

Następnie wstąpił Leopold do zakładu naukowego, pod wezwaniem św. Piotra, w Fourmies. Tu poczuł wyraźne powołanie do stanu kapłańskiego. Celował w nauce a nadzwyczajne zdolności torowały mu drogę do wszelkich dziedzin wiedzy.

W czternastym roku życia załamały się jego siły. Musiał przerwać naukę, a po przerwie wstąpił do małego seminarium.

Z powodu nadwątlonych sił nie pozwolili mu przełożeni wstąpić do seminarium akademickiego, katolickiego uniwersytetu w Lille, gdzie dzięki zdolnościom swym, z łatwością byłby zdobył licencjał. Kurs filozofii scholastycznej przeszedł więc w seminarium w Cambrai.

Nadszedł czas prześladowania Kościoła św. Dotychczas panował zwyczaj, że młodzieńcy, poświęcający się stanowi duchownemu, tylko przez rok pełnili służbę wojskową, mieszkając w tym czasie w koszarach. Odtąd obowiązani oni byli do służby trzyletniej. Leopold odbywał jeszcze służbę jednoroczną. W tym właśnie czasie zrujnował zdrowie zupełnie, bo kompania jego została wysłana do Donaisis, dla utrzymania tam porządku. Wśród stale panującej słoty przeziębził się i zaczął płuć krwią. Nawet sam nie przypuszczał, jak groźny był stan jego zdrowia po ukończeniu służby wojskowej.

W trosce o jego zdrowie wysłała go administracja generalna do szkoły rolniczej w Genech, by tam uzyskał dyplom inżyniera rolnictwa, potrzebny dla kapelanów rolniczych, jakich arcybiskupstwo miało zamiar powołać do życia, w celu głoszenia Ewangelii po wsiach. Po miesiącu pobytu w tymże zakładzie skierowano go do seminarium akademickiego w Lille, z poleceniem przygotowania się do licencjatu z nauk przyrodniczych. Lecz z powodu krwotoków trzeba było studia przerwać. Półtora roku spoczynku i tęsknoty za nauką. Po tym przymusowym spoczynku pragnąc ukończyć studia kapłańskie, wstąpił do wielkiego seminarium w Saint Saulve, na wsi. Lekarz, zbadawszy go, orzekł, że roku nie doczeka. Lecz dzięki zachowanej ostrożności, udało się młodemu Lewicie utrzymać taki stan zdrowia, że mógł otrzymać święcenia jedno po drugim.

W czasie subdiakonatu wyłoniły się pewne wątpliwości. Młody Lewita nie czuł pociągu do pracy parafialnej, bo w młodości swej pragnął poświęcić zdolności swe wybitne na służbę Bożą wyłącznie, a wątpił, czy obowiązki kapłana świeckiego pozwolą mu na to. To też, zanim ostatecznie miał się przez święcenia związać z diecezją Cambrai, zastanowił się, czy nie byłoby lepiej wstąpić do klasztoru św. Benedykta. Lecz wątłe zdrowie i tu stanęło na przeszkodzie. Dyrektor duchowny polecił lewicie rozstrzygnięcie w tej sprawie pozostawić Opatrzności. Oświecony łaską Bożą i uspokojony słowem kierownika duchownego, Leopold już bez wahania, z prawdziwym męstwem przyjął subdiakoniat.

Wspaniałomyślność była wybitną cechą jego charakteru. Mimo, że pragnął pełnić służbę Bożą zdala od gwaru świata, Opatrzność zrządziła, że właśnie został świeckim kapłanem.

Święcenia kapłańskie otrzymał w Saint Saulve, 11 lipca 1911 r., a pierwszą Mszę świętą odprawił w kościele św. Piotra w Fourmies, 16 lipca 1911 r. Chwila ta wywarła na obecnych głębokie wrażenie. Twarz ks. Leopolda jaśniała niezwykłym blaskiem. Zdawało się, że anioł, a nie człowiek zbliża się do ołtarza, by odprawić Najświętszą Ofiarę.

Teraz następuje okres służby kapłańskiej.

Zarząd diecezjalny powierzył mu stanowisko drugiego wikariusza w parafii Wniebowzięcia N. M. Panny w Quesnoi. Ks. Leopold był katechetą, opiekunem młodzieży i żołnierzy tutejszego garnizonu.

Stanowisko to otrzymał ze względu na jego wątłe zdrowie. Miało mu ono zapewnić do pewnego stopnia rodzaj odpoczynku. Młody wikariusz jednak nie unikał trudów. Z zapałem poświęcał się młodzieży i wnet też pozyskał ją sobie. Jeszcze późnym wieczorem nieraz prosili żołnierze o pomoc duchowną. Również zbawienny wpływ wywierał ks. Leopold na młodzież, przebywającą na studiach w Kolegium. Gromadził ją wieczorem po nauce, by jej mówić o rzeczach wiary i stawaniu w obronie jej.

Młody kapłan miał tu szerokie pole dla misji apostołskiej.

Nadszedł rok 1914. Wybuch wojny. Ksiądz Leopold cierpiąc na gwałtowne krwotoki, zwolniony był przez komisję wojskową od służby wojskowej.

W czasie mobilizacji niósł pociechę ludności opanowanej przez wroga. Brak żywności i inne skutki wojny wpłynęły niekorzystnie na stan jego zdrowia. Przyczynił się do tego walnie i niepokój.

Po zajęciu Belgii, gdzie duchowieństwo katolickie złożyło dowody nieustraszonego męstwa i patriotyzmu, zwróciło tym na siebie uwagę wroga. Bez powodu zaczęto aresztować księży, pozostawiając ich w tej samej miejscowości albo wywożąc do Niemiec. Ksiądz Leopold nie był wprawdzie uwięziony, został jednak wypoliczkowany przez Niemca, któremu nie salutował. Skazano go też na karę pieniężną, którą złożyli zań mieszkańcy Quesnoi.

Zaraz z początkiem wojny zabrał się ks. Leopold do nauki języka niemieckiego, bo w czasie okupacji był mu ten język bardzo potrzebny dla niesienia pomocy duchownej ludności i do załatwiania spraw. Zajął się też pozbawioną nauczycieli młodzieżą, ucząc greki, łaciny i filozofii z takim skutkiem, że zdolniejsi uczniowie po skończonej wojnie mogli zdawać egzamin, otrzymując stopień bakalaureatu. Nic dziwnego, że młodzież była ks. Leopoldowi tak wdzięczna.

Miasto Quesnoi nie ucierpiało wiele w czasie wojny. Dopiero przed zawieszeniem broni, gdy Niemcy cofający się zaczęli bombardować miasto, nadszedł czas próby dla mieszkańców. Wtedy to właśnie ks. Leopold dał dowód nieustraszonej odwagi. W szpitalu dla zaraźliwie chorych, niósł wraz z kolegą swym, pomoc duchowną nieszczęśliwym. Schodzili do piwnic, gdzie kryła się przed pociskami nieszczęśliwa ludność. Tam podnosili na duchu, zapowiadając zbliżającą się chwilę wolności. W czasie pogrzebu, z narażeniem życia, postępował ks. Leopold na czele orszaku, a podejrzliwy nieprzyjaciół rzucał pociski. Nieraz trzeba było położyć się na ziemi, by ocalić życie. Dbał zaś o życie jedynie dlatego, by móc bliźnim służyć w niedoli.

Raz, w czasie pogrzebu, trzy pociski nieprzyjacielskie wybuchły tuż koło ks. Leopolda, nie czyniąc mu szkody. Pobożny kapłan spokojnie śpiewał „Miserere“, a mieszkańcy, patrzący nań przez otwory piwnic, nie mogli

opanować wzruszenia i podziwu dla ukochanego opiekuna. W czasie jednego pogrzebu, obsługa pogrzebowa złożywszy zwłoki w grobie, szybko zniknęła. Ks. Leopold pozostał sam nad mogiłą i odprawił modlitwy za zmarłych.

Poświęcenie księży wikarych pozyskało dla nich całą ludność i na wniosek przedstawicieli miasta władze przyznały bohaterom księżom medale i nagrody za zasługi i męstwo.

Oblężenie miasta trwało jeszcze, lecz młodzież zażywać już mogła pewnej swobody. Ks. Leopold skorzystał z tego. Gromadził on młodzież ucząc ją i dając jej możność poznać wartość modlitwy. Przyzwyczajał ją też do rozmyślań, przeznaczając na to rano kwadrans czasu.

Zbawienny wpływ ks. Leopolda na młodzież zwrócił nań uwagę władz duchownych. W uznaniu jego zasług i poświęcenia oraz ze względu na jego niepospolite zdolności i wykształcenie mianowano go profesorem w Seminarium Saint-Saulve. Stanowisko to było dla ks. Leopolda bardzo odpowiednie ze względu na jego upodobania. Nominację otrzymał, lecz z powodu odwrotu wojsk niemieckich kazano mu pozostać jeszcze na stanowisku wikariusza.

Wreszcie nastąpił rozejm i zawieszenie broni. Ks. Leopold po czterech latach niewidzenia spotkał matkę swą i brata w Tours. Brat spędzał tu urlop wojskowy. Wnet jednak wracać musiał do Quesnoi na posadę profesora.

Czując coraz bardziej potrzebę życia wewnętrznego, wstąpił ks. Leopold do stowarzyszenia księży, pod wezwaniem św. Franciszka Salezego. Celem stowarzyszenia było dostarczanie kapłanom świeckim środków do uświęcenia się, za przykładem św. Franciszka Salezego, obdarzonego niepospolitymi cnotami. Członkowie stowarzyszenia wspierali się nawzajem modlitwą, radą, nauką, ćwiczyli się w cnotach, doskonalili w spełnianiu obowiązków kapłańskich i kierownictwie dusz. Dzięki temu stowarzyszeniu poczynił ks. Leopold znaczne postępy na drodze do świętości.

W Seminarium Saint-Saulve będąc, postawił sobie ks. Leopold za zadanie ćwiczyć wychowanków w modlitwie i rozmyślaniu. Najlepiej działał jego przykład. Mimo jednak, że stanowisko to tak odpowiadało jego zamiłowaniu, zdrowie i siły odmówiły posłuszeństwa. Gorliwy wychowawca ograniczyć się musiał do wykładów. Lecz i na to zajęcie nie pozwoliła choroba. Musiał przerwać zajęcia. Czas wypoczynku spędzał w Vichy i w Normandii. Bezczyność była mu jednak przykrą, więc poprosił o posadę kapłana w Daneé na zamku de la Beuvrière, rezydencji hrabiny Maleissy. Było to w r. 1923. Pierwszą jego czynnością było zwrócenie do Boga najbliższego otoczenia, następnie wpływ jego ogarnął całą okolicę.

Lecz znów krwotoki trapić go zaczęły. Wycieńczony chorobą, odprawił nowennę na cześć Ojca św. Piusa X. i za Jego przyczyną uzyskał poprawę zdrowia. W r. 1925 i 1926 znów zaniemógł i nawet najdrobniejsze czynności wymagały ze strony ks. Leopolda nadzwyczajnego wysiłku. Te zmagania się z chorobą miały już charakter uświęcania się.

(C. d. n.)

BRAT STEFAN.

Dokąd dążymy?

(Dokończenie)

O treści filmów przeważnie niezdrowej, zaprawionej sztucznym, wybujałym erotyzmem, — o tych pikantnych a nieraz wprost bezwstydnym scenach, które nadawałyby się chyba do reprodukcji w specjalnych albumach, — o tej całej atmosferze „Sex Appel'u“, — którą spotyka się tam na porządku dziennym, — nie wspominamy, bo są to rzeczy notorycznie wszystkim znane...

Stwierdzamy tylko, że bardzo wiele filmów wywiera na dusze młodzieży wpływ bardzo zgubny i że dopisek „niedozwolone dla młodzieży“ traktowany jest przeważnie jako zachęta do zwiedzania tego, co zakazane, — a nie jako ostrzeżenie...

Stwierdzamy, że nie da się uchronić młodzieży od zgubnych wpływów tego rodzaju filmów, jeśli filmy te reklamuje się hasłem „niedozwolone dla młodzieży“ — i że jest to taki sam nonsens w ten sposób charakteryzować właściwość tych produktów umysłowości ludzkiej, — jak gdybyśmy zaopatrywali np. butelki z napojami alkoholicznymi czy też pudełka z tytoniem czy papierosami w banderole z napisami: „Tylko dla starszych! Młodzież do lat 16 nie ma prawa korzystać — dopiero po przekroczeniu odnośnego wieku“!

To zupełnie tak wygląda, jakbyśmy uważali, że dopiero my ludzie dojrzałi możemy korzystać z tego szóstego zmysłu i że osiągnięcie pewnego wieku w życiu daje przywilej nadużywania bezkarnie wszystkiego...

Ośmielamy się twierdzić, że jeśli film jakiś jest „niedozwolony dla młodzieży“ — nie powinien on być wogóle dopuszczany do wyświetlania...

Ośmielamy się twierdzić, że pomiędzy „osobami starszymi“ jest wiele takich, które możnaby traktować co do rozwoju umysłowego na równi z dzieckiem...

Ośmielamy się twierdzić, że te „zakazane dla młodzieży“ filmy nie są starszym bezwzględnie potrzebne do życia — i że bez nich doskonale możemy się obejść... Sztuka filmowa przez to jeszcze nie upadnie — a my nie będziemy stawać w obliczu naszych pociech w bardzo niewyraźnej roli, zastrzegając dla siebie jakieś „niedozwolone emocje czy rozkosze“, — których im odmawiamy...

Czasy są surowe i można sobie odmówić bardzo wiele... nawet „zakazanych dla młodzieży filmów!“

Wreszcie wspomnieć należałoby przy tej sposobności i o tym, że prawdziwa, wielka sztuka sceniczna wskutek konkurencji, jaką teatrom stworzyły kina, — naprawdę upada... Przedstawienia najlepszych sztuk świecą pustkami, do utrzymania teatrów muszą fundusze publiczne w bardzo przeważających rozmiarach bardzo wybitnie się przyczyniać...

Młodzież chodzi do teatru — nawet na sztuki specjalnie dla niej pisane — tylko wtedy, gdy wywarty ze strony szkoły nacisk to zaleca — a sfera zainteresowań się młodzieży teatrem jest w stosunku do ogólnego wzrostu kultury znikomo mała...

Jest to stanowczo objaw bardzo bolesny i niepożądany i nad jego usunięciem warto by się zastanowić...

Teatr wraz z jego wielką sceną winno się wskrzesić i powołać do nowego życia — choćby to miało odbyć się ze szkodą dla kilku wytwórni filmowych, kilku gwiazd i gwiazdorów, — kilku prywatnych przedsiębiorców...

Przejdźmy wreszcie do rozważenia, jakie znaczenie ma w życiu naszej młodzieży ten trzeci czynnik, odgrywający w nim niepoślednią bynajmniej rolę, — a tym jest ulica. Używamy dla tego specjalnie tego terminu a nie innego jak miejsce publiczne, parki, ogrody, skwery, bulwary, — bo w tym właśnie słowie „ulica“ streszcza się to wszystko, o co nam chodzi.

Ażeby sobie uzmysłować, jaką rolę (zwłaszcza w większych prowincjonalnych miastach i miasteczkach) odgrywa ulica, o ile chodzi o młodzież, — warto pamięcią cofnąć się nieco wstecz i przypomnieć sobie te czasy, kiedy sami byliśmy młodzi. Wychodziliśmy nieraz na ulicę, idąc do szkoły i z niej powracając, — wychodziliśmy, aby kupić książkę lub zeszyt, — odwiedzić kolegę — wreszcie załatwić jakieś zlecenie domowe albo czasem „tyknąć“ trochę powietrza, po prostu przejść się... Przypomnijmy sobie, jakie jednak było nasze wtedy zachowanie się na tej ulicy... jak uważaliśmy na sposób trzymania się, na wymijanie innych passantów, — na ukłon, który od czasu do czasu oddać należało starszym osobom znajomym, profesorom, kolegom... Czy nie była wtedy cała nasza uwaga napięta w jednym kierunku, czy możliwe wyobrazić sobie było jakąś niedbałość w stroju czy postawie, — jakąś nonszalancję czy prostactwo w zachowaniu, — jakąś nieuważę w kierunku przechodni nas wymijających, — czy były dopuszczalne jakieś potrącania się, poszturkiwania, głośne śmiechy i swawolne gzy, — jakieś nucenie czy gwizdanie, palenie tytoniu, wykrzykiwanie... Czy było to wszystko możliwe do pomyślenia — czy spotykało się wtedy podobne zjawiska na ulicy?

Zdaje mi się, że było to po prostu wykluczone... Młodzieńca znajdującego się w miejscu publicznym znamionowała jakaś niezwykła staranność i uwaga we wszystkim i na wszystko, — jakaś łatwo dostrzegalna zaostrożona czujność — jakieś noszenie się inteligentne i poważne, spokojne, stateczne, baczne... Czy potrzeba opisywać, jak młodzież dziś zachowuje się na ulicy, — w miejscach publicznych, w parkach, w ogrodach?

Przechadzka stała się czymś zwyrodniałym po prostu... Młodzież zapomniała, że ulica nie jest właściwie terenem przechadzek — że to tylko teren, który trzeba mijać, aby móc użyć przechadzki w właściwym tego słowa znaczeniu — czy to w parku, — czy za miastem... w polu... na błoniach czy w lesie... Młodzież zapomniała, że ulica nie jest miejscem właściwym do uprawiania sportów, — młodzież zapomniała, że na ulicy nie wypada krzyczeć, poszturkiwać się, — czasem spluwać na odległość z ręki jak z procy, czasem godzinami podpierać jakiś mur czy bramę, — czasem godzinami balansować między jednym narożnikiem domu a drugim, — jednym słupem a drugim... Młodzież zapomniała, że idąc szpalerem złożonym z 3—4 a nawet więcej osób trzymających się za ręce — tamuje się innym ludziom przechód, — że stojąc pod murem i mierząc od stóp do głów przechodni, dopuszcza się grubej nieprzyzwoitości... Że cho-

dnik nie służy do tego, aby po nim jechać rowerem, — że głupkowane wykrzywanie się, — wywoływanie prostackich czasem słów, — że oglądanie się za tymi, których się minęło, — że to wszystko nie uchodzi, że to jest dowodem braku wychowania albo karygodnego lekceważenia sobie wszelkich wogóle form życiowych.

Młodzież zapomniała — a nikt tej młodzieży nie potrafi tego wszystkiego przypomnieć... Nie ma nikt odwagi, — choć widzi, choć zdaje sobie z tego sprawę, — nie chce, nie może, czasem boi się... Boi się, żeby mu się co nie dostało, żeby się w miejscu publicznym nie ośmieszył... boi się, ażeby nie musiał się potem przed kimś tłumaczyć i usprawiedliwiać z tego, że zwrócił uwagę... Boi się, że może niepotrzebnie się zdenerwuje i spać nie będzie mógł w nocy... Boi się wreszcie, czy nie jest może zbyt wymagającym, przesadnie krytycznie usposobionym „antykiem”...

Nie bójmy się!... Źle jest być bojaźliwym — trzeba umieć, trzeba potrafić gromić, karcić i krzyczyć wtedy, kiedy tego krzyku i gromienia potrzeba... Inaczej nie będzie nigdy wychowana nasza młodzież... Będzie może doskonale nadawać się do odgrywania amerykańskiego filmu w jakiejś wytwórni, — będzie może stanowić punkt zainteresowania dla poszukiwaczy sensacji i łowców przygód — ale nie będzie wychowana jak należy...

I całe nawet wychowanie, jakie dać może dobra szkoła, — pójdzie wniwecz, gdy zabierze głos ulica... Ulica nie śmie stać się domem, kasynem, miejscem wypoczynku i wytchnienia dla młodzieży... Ulica winna pozostać czym jest — zgodnie z swym przeznaczeniem... obiektem komunikacji, środkiem umożliwiającym człowiekowi w mieście przenoszenie się z miejsca na miejsce... Arterią niekrępowanego niczym, płynącego spokojną, nie tamowaną falą ruchu...

Jeżeli ktokolwiek ruch ten samowolnie, bezmyślnie czy złośliwie tamuje, — jeśli ktoś nadużywa tych praw, jakie mu daje możność poruszania się na ulicy, — jeżeli ktoś zachowaniem się na ulicy daje innym gorszący przykład i zachęca do wyłamywania się z ogólnych przepisów życiowych, — zasługuje na skarcenie i winien być skarconym w imię dobra ogólnego, w imię wspólnego interesu, w imię ładu i porządku publicznego; jeśli zaś czyni to młodzież, winna być tym bardziej skarcona i odpowiednio strofowana, — gdyż w przeciwnym razie wytworzy się przekonanie, że wszystko uchodzi bezkarnie — nie tylko na ulicy, ale i później w życiu, ale w ciągu tych lat, które dopiero nadejść mają a których rezultatem ma być pożytek dla społeczeństwa, ma być korzyść dla siebie samego przede wszystkim — a potem dla ogółu, dla narodu... Tu jest pole do współdziałania całego społeczeństwa z rodziną i ze szkołą... Kolaboracja umiejętna, celowa, praktyczna i świadoma siebie — kolaboracja w ścisłym tego słowa znaczeniu... Kolaboracja mająca na celu utrwałać, rozwijać i wzmacniać te dobre walory w życiu młodzieży jakie wszczepia w ich duszę dobra szkoła — która ma na celu tej szkole dopomagać i nie dopuszczać do tego, aby zwyrodnianie ogarnąć miało umysły i dusze tych maluczkich, dla których żyjemy i tyle pracy poświęcić musimy w czasie godzin szkolnych, w czasie ich pobytu w domu...

Nie dopuścić do tego, aby takie skargi się powtarzały w pismach codziennych jak ta, którą zaniósł w liście do redakcji jeden z czytelników poczytnego u nas bardzo pisma, — a w której treści zawierającej wyrazy prawdziwego rozżalenia i rozgoryczenia znajdujemy błagalną prośbę, aby przypomnieć komu należy, że... „ulice nie są preriami, po których uganiają wściekle wyjące hordy dzikusów — ani boiskami sportowymi, na których wrzeszczą niekulturalni gracze“...

Przypominamy... i wyrażamy głęboką i szczerą nadzieję, że głos nasz może nie zostanie przecież głosem wołającego na puszczy i jakiś chociażby minimalny skutek swój odniesie.

Śp. Siostra Anna Kaworek

Generalna Przełożona Towarzystwa Sióstr Św. Michała Archanioła.

Prawie dwadzieścia pięć lat po śmierci śp. Ks. Bronisława Markiewicza — Założyciela Zgromadzeń męskiego i żeńskiego Tow. Św. Michała Archanioła — poszła także po nagrodę wiekuiłą pierwsza Generalna Przełożona Towarzystwa Sióstr Św. Michała Archanioła śp. Siostra Anna Kaworkówna.

Po długim, świątobliwym żywocie, pełnym pracy i poświęcenia się — a w ostatnich kilku latach także ciężkich cierpień fizycznych, znoszonych ochotnie z zupełnym oddaniem się Bogu — w dniu 29 grudnia z. r., otoczona gronem swych sióstr zakonnych, cicho — wśród modlitwy uleciała jej anielska dusza ku Niebu.

Słodką i radosną musiała być dla niej ta chwila wyzwolenia się z doczesnych więzów i ucisków, gdyż jakiś dziwny uśmiech i blask szczęścia tak rozjaśnił jej twarz, iż wyraz ten pozostał i na zastygłych już licach zmarłej, pociągając swym niezemijskim wyrazem wzrok wszystkich, składających hołd ostatni tej zacnej i szlachetnej Postaci. Każdy czuł w swej duszy, iż spełniły się na niej także słowa Pisma św: »Beati mortui, qui in Domino moriuntur« — Błogosławieni umarli...

Śp. Siostra Anna K. była Ślązaczka — pochodziła z Karfu pod Bytomiem. W dwudziestym roku życia swego — wiedziona głosem Bożym — śpieszy do Miejsca Piastowego (1894 r), skąd doszły już echa na Górny Śląsk o wielkim Mężu Bożym Ks. Bronisławie Markiewiczu, który poznawszy w czasie swego kilkuletniego pobytu we Włoszech, świętego już dziś Jana Bosko i jego system wychowawczy, postanowił dzieło tego męża przenieść na grunt polski i tu utworzyć zgromadzenia męskie i żeńskie, które by zajęły się przygarbieniem i wychowaniem tysięcznych rzesz ubogiej i opuszczonej młodzieży — dla Boga i Ojczyzny. — Za Siostrą Anną podążyły do Miejsca Piastowego wkrótce liczne szeregi bogobojnych dziewic — ze Śląska i wszystkich innych ziem Polski, pragnąc oddać się na służbę Bogu i bliźnim pod wodzą Ks. Bronisława Markiewicza.

Trudne i ciężkie były te początki rozwiniętego już dziś bardzo i zasłużonego Towarzystwa Sióstr Św. Michała Archanioła, Michalitek. Nie było

nawet domu własnego — trzeba było tułać się po różnych domach wiejskich i walącej się, starej plebanii. Dosłownie «o głodzie i w chłodzie» spełniały siostry wszystkie prace w domu, gospodarstwie i w polu — pomagając Ks. B. Markiewiczowi w tworzeniu wielkiego dziś dzieła: zakładów męskich i żeńskich oraz obu zgromadzeń. Nie mogły także Siostry nosić ubioru zakonnego, chodząc aż do chwili zatwierdzenia przez władze kościelne (1928) r.) w czarnych ubraniach, jakich używają na G. Śląsku wieśniaczki.

Śp. Siostra Anna jako przełożona świeciła zawsze i wszędzie dobrym przykładem — modlitwy, pracy, poświęcenia się, pokory i umartwienia — zawsze pogodna i uśmiechnięta. Bezgraniczna ufność w Bogu i głębokie przeświadczenie, że pomaga przy wielkim dziele Bożym — dawały jej siłę do wytrwania wśród prześladowań i ucisku, lekceważenia i naśmiewania się nawet ze strony tych, co po ludzku tylko sądząc — nie mogli zrozumieć, że dzieło Ks. Bronisława Markiewicza — to jedyny ratunek w nadchodzących ciężkich czasach, które począwszy od wielkiej wojny przeżywamy i długo jeszcze może w ostrzejszej niż obecnie formie przeżywać będziemy.

Taką to twardą szkołę życia przeszła Śp. Siostra Anna pod światłym i mądrym kierownictwem Ks. Bronisława Markiewicza; przejęta na wskróś jego duchem prowadziła przez lat 42 Zgromadzenie Sióstr Michalitek, jako główna przełożona, doczekawszy się dopiero w 16 lat po śmierci Ks. Założyciela zatwierdzenia zgromadzenia przez władze kościelne (1928 r.) jako Towarzystwo Sióstr Św. Michała Archanioła. W tym też roku ukończyły Siostry Michalitki budowę obszernego klasztoru z kaplicą w Miejscu Piastowym i zamieszkały wreszcie po blisko 35-cioletniej tułaczce w rzeczywistym domu klasztornym, zbudowanym własną, mozolną pracą: wszystko bowiem prócz fachowych prac murarskich i innych — zostało wykonane przez Siostry.

Śp. Siostra Anna wszędzie pomagała, wszystkiego doglądała, troszcząc się ponadto w modlitwie i ludzkimi sposobami o fundusze na zapłacenie materiałów budowlanych i płatnych pracowników. Dwukrotnie też przy tym spotkały ją bolesne przygody: raz zwichnęła sobie nogę — a za drugim razem złamała się nawet noga; trzeba było odtąd chodzić przy pomocy laski. Od tego też czasu zaczęły ją nawiedzać różne inne cierpienia fizyczne — tak iż ostatnie lata życia były dla niej nieustannym pasmem męczeństwa. Mimo tych cierpień przyjęła jeszcze z woli Sióstr, które ją swą generalną przełożoną na dalsze 12 lat obrały, te trudne i odpowiedzialne obowiązki, pełniąc je z gorliwością aż do śmierci swej.

W ostatnich miesiącach — nie mogąc już opuszczać łoża boleści — znosiła wszystko z wielką cierpliwością i ochotnie nawet — witając zawsze odwiedzające ją Siostry i dzieci z uśmiechem i wesołością. Z radością też oczekiwała chwili śmierci. W ostatnim dniu pobłogosławiwszy siostry i dzieci zalecała im w ostatnim swym testamencie jak największą zgodę i inne cnoty. Gdy w słabnących już dłońach nie mogła utrzymać krucyfiksu, mówiła z rozrzwinięciem: »Pan Jezus wie i tak, że Go kocham«.

Po odmówieniu z siostrami drogi krzyżowej i innych modlitw, podczas Litanii Loretańskiej — przy słowach: Baranku Boży — cicho oddała swą czystą i świętą duszę Bogu.

Po śmierci zwłoki jej odwiedzała tłumnie okoliczna ludność, wpatrując się ze łzami w jej rozjaśnione oblicze — w tym przekonaniu, iż widzą przed sobą świętą: bowiem przez 42 lata patrzyli oni na jej oddane Bogu i bliźnim — pracowite życie — a wielu dużo dobrego dla duszy swej i ciała od niej doznało. Każdy chciał zabrać z jej trumny jaką relikwię dla siebie — tak iż trzeba było nawet straż postawić. Niektórzy przypominali także sobie, iż jeszcze przed wielu laty Śp. Ks. Bronisław Markiewicz przepowiadał, iż Siostra Anna będzie świętą.

W dniu 2 stycznia, po żałobnych modłach w kaplicy klasztornej — przy licznym udziale duchowieństwa, sióstr zakonnych i tłumu okolicznego ludu — złożono trumnę do wspólnego grobu, w którym przed rokiem złożono także zwłoki jej rodzonej siostry śp. Franciszki Kaworkówniej, która w dwa lata po swej starszej siostrze Annie do Miejsca Piastowego przybywszy, 40 lat tu w zakonie przeżyła, ostatnio jako dyrektorka domu głównego w Miejscu Piastowym. Grobowiec obu sióstr znajduje się obok grobu wielkiego Męża Bożego i założyciela obu zgromadzeń Św. Michała Arch. — śp. Ks. Bron. Markiewicza. — Grób zamknął śmiertelne szczątki świątobliwej służebnicy Bożej, — długoletniej współpracowniczki i powiernicy dzieła śp. Ks. Bronisława Markiewicza — pierwszej generalnej przełożonej Sióstr Michalitek. — Życie jednak ludzi świętych nie gaśnie wraz z życiem doczesnym. — »In memoria aeterna erit justus« — głosi Pismo święte. Tak też pamięć cnotliwego, pełnego pracy dla Boga i bliźnich żywota, śp. Siostry Anny K. trwać będzie zawsze w sercach i duszach nie tylko tych, co na jej wzniosły przykład patrzyli, ale duch opiekuńczy jej z niebieskich sfer roztaczać będzie skrzydła opiekuńcze nad wszystkimi domami Tow. Sióstr Św. Michała Arch. i zakładami sierocymi przez nie prowadzonymi, wyprasząc im błogostawieństwo Boże i pomoc we wszystkich sprawach przed tronem Bożym i Matki Najświętszej.

Cześć pamięci tej przezacnej Postaci!

R. i. p.

T. R.

Z kroniki domowej.

Bardzo przykrą jest zima w Zakładzie. Brak opału jest przyczyną, dla której cały szereg sal i pokojów w ogóle nie bywa opalany, niektóre rzadko — raz na kilka dni — a te wybrane szczęśliwe komnaty, w których palić się musi, rozgrzewa się niedostatecznie.

Gdy przyjdą pierwsze mrozy — stan taki znosi się z fantazją i szczęśliwie maskowaną tężyzną ducha, ale po kilku tygodniach, gdy mrozy nie zelżą, lecz jeszcze się wzmagają, nastrój staje się dość niewyraźny. Każdy powie — oczywiście — że można wytrzymać, że gorzej bywało,

ewentualnie, że mróz jest zdrowszy niż chlapy — ale rzeczą jest jasną i dowiedzioną, że taka sentencjonalna pociecha nie przedstawia żadnej zgoła wartości. To, że „można wytrzymać“, tłumaczy się, że wytrzymać musisz chcesz czy nie chcesz. Że gorzej już bywało, brzmi, jako ponura zapowiedź, że w naszym klimacie i w naszych warunkach to, co bywało, może powrócić. A to, że mróz jest zdrowszy niż chlapy, daje każdemu tę kiepską pociechę, że przetrwawszy zdrowe mrozy, doczekamy się niezdrowej chlapy wiosennej, bo i ta nas nie minie.

Pali się zasadniczo tylko w pracowniach, od czasu do czasu w salach szkolnych i w sypialniach, bardzo rzadko w refektarzu i w świetlicy. Szczególnie zimno jest w kaplicy, — dlatego podczas silnych mrozów pacierze i nabożeństwa codziennie odprawia się w starej kaplicy, w której jakkolwiek nigdy się nie pali, bo i pieca w niej nie ma, to jednak jest znacznie cieplej bo ciaśniej.

W dodatku chłopcy nasi słabo są zaopatrzeni w ciepłą odzież. Wielu nie ma płaszczy ani kurtek, tylko liche sweterki, niektórzy i bez sweterków — ratują się jak mogą. Rączyny popękane i zsiniałe smarują gliceryną lub wazeliną, marzą o tym, aby je przytulić do ciepłego pieca, albo z lubością rozciągnąć nad buchającym jasnym płomieniem, ale niełatwo znaleźć takie wyrafinowane rozkosze. Ciepły piec to luksus, a ogień buchający prawdziwym płomieniem spotyka się tylko w powieściach Maya lub Curwooda — może w paru innych. Autorzy nawet nie bardzo nim szafują.

Owszem, jest takie miejsce zakazanych mahometańskich przyjemności, gdzie i ogień bucha płomieniem, i para ogrzana i aromatem nasiąkła błogością nasycza zziębnięte ciało i utrapioną duszę, ale to miejsce do którego nikt nie ma wstępu. Srogi napis „niezajętym wstęp wzbroniony“ odstrasza każdego, kto nie potrafi byстрым dowcipem zmyślić sobie choćby pozornego zajęcia bodaj na chwilę, aby ręce ogrzać. Tym miejscem to kuchnia. Kto nie ma w niej zajęcia, ten może tylko marzyć i rozgrzewać się marzeniem, a ręce skrzętnie chować do dziurawych kieszeni wytartego kubraczka.

Ale na wszystko jest rada. Przewidująca matka-natura obdarzyła, zwłaszcza młodych chłopaków, takim doskonałym środkiem na mróz, jakim jest żywa fantazja i dziwnie przekorna pomysłowość, która im stwarza gorące sytuacje. Ci fantaści — a zowią się narciarze, łyżwiarze, saneczkarze, — z zapalem tratuja śnieg — powiadając, że to im dobrze robi. Być może, że jest w tym jakiś sens i że im to istotnie robi dobrze, ale żeby to wszystkim dobrze robiło, na to się trudno zgodzić, bo później na tej do szlifowania doskonałego wyslizganej drodze — nie można kroku zrobić, bez gwałtownych wysiłków gimnastycznych dla prostego utrzymania równowagi, co przecież normalnemu człowiekowi w normalnych warunkach przychodzi bez trudu. Ale być może, że tak być musi i że to właśnie

należy do zimowych konieczności. Skądinąd wiadomo, że podobne sytuacje zastępują piece i dają dużo ciepła. Prawie każdy po przejściu kawałka tej ślizgawicy najpierw rozpina futro, później zdejmuje czapkę i gubi jedną rękawicę, potem siada na śniegu i zdejmuje kalosze, później wstaje i jeszcze prędzej znowu siada, ale już bardzo niechętnie, przy tym gubi drugą rękawicę i co tam jeszcze ma w ręku, potem kładzie się na plecy albo na nos, jak mu wygodniej, względnie jak kto woli, a po tym wszystkim staje się mocno czerwony i spocony i zaczyna bez należytego związku, widocznie pod wpływem gorąca mówić głośno coś o jasnych piorunach, o psie, o krwi, którą ten pies niewinnie przelał, często wskazując nosem miejsce, gdzie ta krew została przelana. Tak trwa przez całą drogę. Rzecz jasna, że to grzeje i sytuacja w takim miejscu jest bardzo gorąca. A ponieważ wielu tą drogą chodzi, dlatego i mrozy nie tak znowu wiele nam szkodzą, jakby to się mogło zdawać. Gorzej jest, że nie wszyscy lubią taką drogą chodzić, a znów najgorzej, że innej drogi zgoła tu nie ma, bo bestie narciarze i saneczkarze nie uznają żadnych rezerwatów. Ale poza tym jest to doskonały sposób na mróz. Tylko tutaj należałoby przytoczyć uwagę pewnego księdza, którego pewnego razu powożący sankami woźnica, wraz ze sankami wyrzucił do zasy śnieżnej. Ksiądz się ze zasy wygrzebał bez szwanku, ale woźnicy oświadczył z wyraźną niechęcią:

— Wiecie, Janie — jedźcie trochę uważniej bo to, widzicie — nie każdy to lubi. — Otóż to. Nie każdy to lubi. X.

Z karty pośmiertnej.

Dnia 4 lutego br. zmarł po krótkich a ciężkich cierpieniach, zaopatrzonej św. Sakramentami

śp. dr Adam Maciurzyński

były wychowanek Zakładu, jeden z pierwszych współpracowników Ks. Bronisława Markiewicza. Jako dyrektor gimnazjum we Frampolu, następnie profesor liceum Krzemienieckiego, ostatnio na emeryturze, zawsze zachował serdeczne przywiązanie do Zakładu i najgłębszą cześć i wdzięczność dla śp. swego wychowawcy Ks. Markiewicza. Najlepszym dowodem tej czci jest następujące zdarzenie. Zmarły jako polonista — filolog — zamieszczał szereg prac w naszym czasopiśmie. Na zapytanie, czy pozwoli pod nazwiskiem swoim jako autora umieścić dopisek *były wychowanek Zakładu* odpowiedział: „Ależ za zaszczyt uważam sobie, że przeszedłem taką szkołę życia i że byłem wychowankiem takiego wychowawcy, jakim był Ks. Markiewicz“. Również bardzo piękny rys jego charakteru przejawiał się z okazji złożenia przez niego ofiary na rzecz Zakładu; gdy mu serdecznie dziękowano, zauważył wtedy z całą naturalną skromnością: „Ależ to nie ja jestem waszym dobroczyńcą — tylko wy moim! Stokroć większa jest dla człowieka rozkosz w tym, gdy może coś dać z siebie, niż gdy sam bierze“.

Zakłady nasze i całe zgromadzenie tracą w zmarłym serdecznego przyjaciela i dobrodzieja.

Wieczne odpoczywanie, racz mu dać, Panie.

Dnia 3 marca zmarł po krótkiej a ciężkiej chorobie, zaopatrzony św. Sakramentami, wychowanek zakładu

ś. p. **Łudwig Aleksander**

uczeń warsztatu krawieckiego.

Przez czas kilkuletniego pobytu w zakładzie pozyskał sobie miłość wszystkich wychowawców i wychowanków dla swojej wielkiej szlachetności charakteru i pozostawił po sobie szczery żal. Młodzież zakładowa pogrzeb swojego ukochanego kolegi uczciła chórem i muzyką orkiestrową, a przede wszystkim z serca płynącą modlitwą.

Przegląd wydawnictw.

Społeczne zasady ewangelii. Poznań 1937 — Nakł. S. A. „Ostoja“
— cena 2 zł 20 gr.

W małej książeczce (150 stron druku) zawarto prawdy bardzo głębokie, rady i wskazania życiowe płynące z niezniszczalnego i niewyczerpanego nigdy źródła, jakim jest ewangelia, do której szczery powrót tak dziś aktualnym jest hasłem życia! Oto tematy poszczególnych rozdziałów:

Społeczna nauka ewangelii. Wartość człowieka. Rodzina — kobieta — dziecko. Państwo i władza. Naród. Praca i płaca. Bogactwo i własność. Braterstwo i sprawiedliwość. Miłość. Pokój. Kościół. Społeczna siejba ewangelii.

Na samym wstępie tłumaczy autor (K. J.) — jak należy „wyszukać te zasady, które przyczynią się do wyratowania z toni kryzysu, ułatwią zaprowadzenie nowego ładu... Zasady te nie zostały jedna przy drugiej ułożone lecz są rozsypane w całej księdze świętej...“ Zebraniem ich i uporządkowaniem w jedną krótką całość według wyszczególnionych j. w. tytułów zajęli się właśnie wydawcy, za co tak im jak i autorowi, kryjącemu się niestety pod kryptonimem należy się szczerą wdzięczność!

Książeczka powinna się znajdować w każdym chrześcijańskim domu, bo bardzo potrzebna i pożyteczna!..

Bardzo piękne przemówienie wygłosiła do dzieci obdarowanych na gwiazdkę przez organizacje humanitarne i filantropijne w Chełmie (jak o tem wspomina „Kronika Nadbużańska“) — znana na tamt. terenie jako miłośniczka dzieci, p. Denkiewiczowa. — Powtarzamy je tutaj dlatego, że pragnęlibyśmy, aby te słowa trafiły i do innych, którzy korzystali lub korzystają z dobroczynności publicznej! Oto one:

„Dzieci nie chcecie przyjąć paczek za darmo, gdyż uchybiłoby to waszej godności ludzkiej. Nikt bowiem z nas nie jest tak biednym, żeby nie mógł odpłacić dobrem za dobre. Jedynym dziadem, żebrakiem jest tylko ten, który nie ma odrobiny miłości, a jest napełniony samą nienawiścią —

szatan. Człowiek zaś choćby najbiedniejszy, głodny i w łachmanach ma dane od Stwórcy prawdziwe bogactwo, a tym jest serce — miłość do stworzeń; zwłaszcza do ludzi. Otrzymując dzisiaj dary dwiazdkowe, przygotowane i wręczone wam z miłością, płacicie za nie ze swej strony miłością i wdzięcznym biciem małych serduszek do Boga i do wszystkich ludzi, nie zazdroście dzieciom bogatszym i bardziej sytym”.

Piękne te słowa powinny utkwic w wszystkich młodych serduszkach, które poczuwają się do wdzięczności wobec tych, od których doznały cokolwiek dobrego...

Od Redakcji.

W tekście tego numeru przytaczamy komunikat, jaki się ukazał w pierwszym zeszycie „Powściągliwości i Pracy” z lipca 1898 („Do Przyjaciół maluczkich ubogich i opuszczonych”) z racji zapoczątkowania tego wydawnictwa.

W lipcu więc 1938 mija lat równo czterdzieści jego istnienia. —

W całym tym czterdziestoletnim okresie była przerwa w latach 1915—1923, w których pismo naprzód z powodu wypadków wojennych a później wskutek zniszczenia urzędów i zastoju ogólnego działalności swą zawiesiło. — Z tego też powstało tego rodzaju oznaczenie kolejne następnych roczników, które wprowadziło dysproporcję między ich numeraturą a okresem trwania pisma, który liczyć należy zawsze od jego daty powstania. Tu należy też szukać przyczyny, dla której według liczenia uwzględniającego przerwę 1915—1923 rocznik obecny jest dopiero trzydziesty pierwszy w całym okresie istnienia pisma — podczas gdy faktycznie jest to już od czasów jego powstania rok istnienia czterdziesty.

Ażeby tę niezgodność częściowo choć usunąć i wskazać naszym P. T. Czytelnikom na istotny wiek organu, który nas z Nimi łączy, — będziemy odtąd umieszczać na stronie tytułowej okładki dwie cyfry — a to jedną wskazującą na rok upływający od czasu założenia pisma — drugą zaś (w nawiasie) na faktyczną cyfrę rocznika.

Za zezwoleniem Władzy duchownej i Przełożonego Zakonnego

Wydawca: Towarzystwo Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowym.

Prenumerata roczna w kraju 3 zł — za granicą 5 zł. Prenumeratę, korespondencję, wszelkie zamówienia na wydawnictwa i ogłoszenia oraz wszelkie inne przesyłki dotyczące czasopisma upraszamy kierować pod adresem: *Redakcja „Powściągliwości i Pracy” w Miejscu Piastowym, pow. Krosno, wojew. lwowskie.*

Pieniądze można przysyłać przekazem pocztowym, przekazem rozrachunkowym lub blankietem P. K. O. Kraków Nr 405,570, przy czym jednak prosimy zawsze wyraźnie uwidocznic, na co są pieniądze przeznaczone. Cena pojedynczego zeszytu 25 gr.

Redaktor: X. Jan Górecki w Miejscu Piastowym

Drukarnia Tow. Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowym.

Teraz patrzę na dół. Miejsce rozłożyło się pod wzgórzem, na którym dom stoi i wygląda jak jakie miasto, szczególnie wieża kościoła parafialnego imponuje. Spoglądam jeszcze bliżej; oto dom zakładowy wygląda jaka budka w porównaniu do naszego gmachu, choć ma 35 metrów długości. Dopiero teraz mogę się przypatrzeć dobrze naszemu zakładowi. Z dala widać światelko, to piec ceglarski, w którym palą dzień i noc; bliżej nieco, rozciągają się stosy surowej cegły, gotowej do wypalenia; od pieca też do wejścia murów prowadzą szyny kolejowe. służące do przewożenia cegły; obecnie jeżdżą po nich dzieci z wielkim zapałem. Wszędzie roją się chłopcy jak w jakim ulu, hałas, śmiechy nie do opisania, pełno radości i krzyku.

Nagle wszystko ucichło, tylko odgłos dzwonka dochodzi do uszu. Wtem rozlegają się dźwięki dobrze mi znanej pieśni z początku cicho, a potem głośniejsz i głośniejsz, aż zagrział chór: Królowo Polski, zlituj się nad nami! Odbił się śpiew naprzód o dom, na którym stałem, potem echo jego powtarzały jeszcze pagórki: zlituj się, zlituj nad nami! Coraz ciszej, coraz ciszej aż słychać już tylko jakieś szemranie — to pacierze mówią. po nich następują słowa egzorty, w końcu wszystko ucichło; ciszę przerwało jeszcze jedyne: „Ty zaś, Panie, zmiłuj się nad nami, Bogu dzięki“.

Spokój ten przerywa tylko czasem trzaskanie ognia w cegielni, a księżyc płynie spokojnie ponad domem i żegna wszystkich, zaglądając przez okna.

Ofiary w złotych na Zakład Wychowawczy w Miejscu Piastowym:

Pajewska M. w B. 130, — Szabectrza P. w W. 3:80, — Ks. Rutkowski F. w W. 8:80, — Ks. Gagatnicki w P. 18:80 — Ks. Szumacher Karol w M. 5:80, — SS. Boromeuszki w C. 0:80, — Kamiński Feliks w W. 1:80, — Kiepal Maria w D. G. 8:80, — Dr Poryskajowa Zofia w W. 0:80, — Potrykowska Stanisława w L. 0:80, — Józefowiczowa Helena w P. 2:80, — Zbrozek Józef w P. 2:80, — Noixtacka Wiktorja w Z. 3:80, — Brzozowska Zofia w T. 4:60, — Jelska Cecylja w W. 0:80, — Walicki Jan w R. 1:30, — Lisowska Helena w L. 1:30, — Dr Popiel w W. 3:80, — Schuster Maria w D. 3:80, — Grabowski Tomasz w W. 1:80, — Kisielewicz Irena R. 1, — Moszyński Leopold w W. 0:80, — Wysocka Pelagia w W. 9:80, — Wojciech Nęcki w K. 0:80, — Januszkiewiczowa M. w B. 0:40, — Ślidzińska W. w Ł. 0:80, — Ks. Hędrzak J. w H. 0:80, — Nowicki Stefan w C. 1:80, — Mokiejewski W. w Ż. 1:80, — Błaszczakiewicz Jan w Z. 3:80, — Ks. Guranowski Z. w Z. 3:80, — Frysztakowa Karolina w K. 3:80, — O'Rourke K. w W. 18:80, — Inż. Szomek W. w S. 3:80, — Inż. Dyrdoń A. w M. 3:80, — Kobyłańska Maria Z. w D. 3:80, — Załęska Zofia w W. 3:80, — Kozłowski A. 5:80, — Baltaza Paulina w W. 8:80, — Ks. Poskrobko Jan w W. 5:80, — Ks. Muchoński A. w B. O. 5:80, — Milewski w W. 10:80, — Bylina Zofia w T. 13:80, — Zmitrowicz L. w W. 1, — Krukowska K. w L. 1:80, — Sezaniecka Izabella w K. 8:80, — Sędzia Pęski Emil w W. 3:80, — Lewicki W. w S. 0:80, — Żmijewska A. w W. 2:80, — Świrad Jan w J. 0:80, — Zarembowa Julia w M. 3:80, — Derdelewicz Maria w S. 4. — Klasztor PP. Benedyktynek w W. 5, — Ks. Szulczewski R. w Z. W. 2:80, — Ks. Makarczuk Wł. w L. 13:80, — Smoleńska Janina w P. 5:80, — Zych Józef w S. 1, — Wolański Wł. w G. 2, — Pietniczówna Adela w J. 5, — Rzejak Józef w Ł. 5:80, — Karettowa K. w S. 0:30, — Ks. Dr Warszylewicz A. w L. 0:80, — Kratkowa E. w W. 0:80, — Dr. Hr. Tyszkiewicz Stanisław 0:80, — Inż. Guziakiewicz J. w B. 1:40, — Brunarska M. w K. S. 0:80, — Wawrzyniak M. w W. 0:80, — Gębarowiczowa Bronisława w Ł. 3, — Dr Buzath-Józefowiczowa w K. 0:80, — Mayer M. w K. 1:80, — Frankowska Antonina w P. 8:80, — Morełowska Eugenia w K. 0:80, — Płatnik Kierownictwa Marynarki Wojskowej w W. 3:60, — Kalwaria OO. Franciszkanów w P. 0:80, — Dobija C. w K. 15:80, — Wierchlejski T. w M. 7, — Święcicki Z. w W. 0:80, — Ks. Gałuszka A. S. w Z. 2, — Piątkowa Zofia w L. 0:80, — Dziechciński M. w Sz. N. 8:80, — Ks. Rawicki w B. 0:80, — Linkowa M. w Cz. N. 0:80, — Ks. Kisielewski L. w Ż. 0:80, — Jezowa A. w W. 0:80, — Rozełkowa A. w L. 0:80, — SS. Miłosierdzia w W. 3, — Nawrocki Stanisław w W.

580, — Ks. Prof. Janicki Julian w P. 380, — Czuszytek M. w N. 080, — Ks. Dr. Matyka W. w P. 080, — Ks. Okoniewski H. w Ł. 140, — Serwański Józef w Z. 280, — Szwedzicka Stefania w L. 080, — Ks. Sadowski Julian w P. 080, — Ks. Prob. Jazdończyk w B. 2880, — Pożycka M. w W. 080, — Ks. Prof. Dąbrowski w G. 080, — Ks. Suszczyński K. w W. 080, — Ks. Grudziński M. w R. 080, — Samborska A. w W. 5, — Budny Antoni w B. 880, — Marcinowski E. w W. 080, — Mikulec Helena w G. 380, — Ks. Tureczański J. w K. 430, — Ks. Kiliński w B. 6, — Ulanowski Jan w K. 1, — Bojanowska K. w B. 080, — Lenczelowska w W. 080, — Groniecka Zofia w B. 380, Ks. Dihm J. w W. 20, — Ks. Pilchowski St. w K. 120, — Dworaczek Karol w R. S. 080, — Iza i Józef Bielicy w P. 080, — Pyszny A. w K. 1, — Dzierżańska M. w Ż. 3, — Gierczyńska E. w Ch. 180, — Michałowska Helena w W. 080, — Ks. Adamczyk Józef w B. 080, — Dr Ryzner Józef w L. 080, — Kozłowska Ludwika w L. 2, — Jaroszewski Adam w D. P. 5, — Dolińska Ludwika w B. 5, — Ks. Dr. Kulinowski Józef w K. 880, Rappe Zofia w W. 9808, — Ks. Piaszczyński Michał w Ł. 100, — Ks. Roztocki Piotr w S. 10, — Lamers Antoni w K. 5, — Machowski Adam w Ch. 4102, — Zieleniewska Jadwiga w K. 3, — Roszkowski w W. 5, — Giesswald Roman w D. 1380, — Wędrychowska Michalina w P. 280, — Ks. Kwiatkowski K. w Ł. 080, — Milińska Maria w Cz. 250, — Swadzyniakowa St. w G. 1, — Święcicki Zygmunt w W. 5, — Ks. Kras w L. 2, — Bobrowska Józefa w M. 3, — Weber Maria w L. 5, — Sobota Zdzisław w P. 7, — Ks. Dr. Cierniak J. w N. S. 080, — Ks. Śmietana Julian w B. k/ S. 580, — Inż. Okoń w T. 5, — Ks. Grzesiowski J. w P. 1, — Dniochowski J. w I. 180, — Georgesowa Olga w L. 5, — Ks. Stach Jan w R. k/ B. 5, — OO. Redemptoryści w W. 220, — Inż. Melchert Stanisław w K. 1280, na beatyfik. ks. Markiewicza 3, — Czarnecka W. w L. 080, Gorkowska Cecylia w S. 3, — Stryjek Stanisława w M. 2, — Smalara T. w S. 030, Kasprzak Józef prof. gimn. w J. 5, — Herdin J. w B. 180, — Straszewska Helena w K. 080, — Kozłowiecka M. w M. 380, — Marcinkiewicz J. w S. 080, — Ks. Jasiński I. w K. 080, — Ks. Żurowski J. w S. 380, — Olsztyńska M. w G. 380, — Iglatowski J. w R. W. 2, — Rosiecki J. w B. 380, — Inż. Krudysz Jan w C. 5, — X. Sanguszkowa w T. 080, — Ks. Wł. Zaremba w P. 020, — Wulf Bolesław w W. 10, — Burski Tadeusz w J. 30, — Ks. Satke J. w Ż. 2, — Goetz Leon w P. 580, — Rychłowska Michalina w P. 380, — Madej Elżbieta w B. 250, — Ks. Ostafiński Michał w Ł. 380, — Charzyńska Teodozja w C. 180, — Wasjutynska Anna w L. 10, — Trząski Adam w Ch. 580, — Rusiewiczowa Teofila w L. 2, — Lonka Zofia w T. 380, — Assman E. w D. 580, — Dr Zmitrowicz Ludwik w W. 2, — Gorczyński K. w R. 080, — Inż. Kostkiewicz K. w T. 580, — Waliński Fr. w W. 880, — Ks. Krzakowski Jan w K. 580, — Dyr. Fallenbüchl Jan w W. 880, — Jaszura August w L. 5, — Wydźga Maria w B. 380, — Inż. Bosakowski Marian w Ł. 5, — Rysiewicz A. w K. 380, — Bauerówna Apollonia w P. 380, — Ks. Handt w B. 380, — Sen. Róg M. w W. 380, — Modzelewska Zofia w W. 380, — Krajewska Ludwika w M. P. 210, — Ks. Kraus Kaz. w O. 3, — Ostaszewski M. w M. 180, — Księżna Czartoryska L. w K. 180, — Ks. Kucharski W. w S. 180, — Judówna Józefa w S. 180, — Kałużny St. w D. 180, — Frydbergowie B. i B. w W. 130, — Bożenna Kahl w M. 10, — Michałowska A. w S. W. 1, — Brzeski Jan w Ch. 080, — Staliński Ignacy w L. 580, Ks. Smółka L. w Z. 080, — Odrobińska W. w Ch. 080, — Woźna B. w P. 080, — Dr Rybacki Fr. w W. 1880, — Fabryka Przędzy i Tkanin „Chodaków” w Ch. 1080, — Ks. Zagalak St. w R. n/S. 140, — Holewiński J. w W. 3, — Gudewicz J. w M. 080, — Inż. Tworos Roman w Z. 1880, — Inż. Błaszkwicz Fr. w W. 580, — Cieńska Tadeuszowa w L. 580, — Kwiatkowski Jan w R. 380, — Skirmuntt Maria w M. 380.

Wszystkim ofiarodawcom niech Pan Jezus sowiec wynagrodzi w tym i przyszłym życiu. W każdej Mszy św. pamiętamy o naszych Przechacnych Dobrodziejach.

*Ks. JAN LATUSEK
Dyrektor Zakładu.*